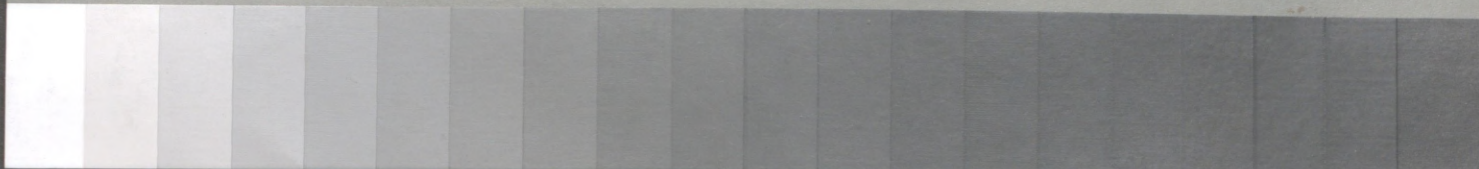


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



STANISŁAW HŁASKO



# STUDJA PUBLICYSTYCZNE



PETERSBURG \_\_\_\_\_ 1907.  
NAKLADEM „KSIĘGARNI POLSKIEJ.”



Colour Chart #13



STANISŁAW HŁASKO



**STUDJA  
PUBLICYSTYCZNE**



PETERSBURG \_\_\_\_\_ 1907.

NAKŁADEM „KSIĘGARNI POLSKIEJ.”

STANISŁAW HŁASKO

---

Studja  
Publicystyczne



PETERSBURG — 1906  
NAKŁADEM „KSIĘGARNI POLSKIEJ”

9298/1



## TREŚĆ

---

Przeobrażenia społeczne . . . . .	3
Wszechpolskość . . . . .	19
Pruskie miliony . . . . .	35
Feldfeble i polacy . . . . .	49
Bismark poznański . . . . .	53
Niezlomny kardynał . . . . .	57
Po interpelacji . . . . .	62
Ustrój Królestwa w XIX w. . . . .	67
Przypomniane idee . . . . .	80
Józef Kenig . . . . .	88
Walka narodowości . . . . .	92
Głosowanie polityczne . . . . .	103
Kryminały polityczne . . . . .	111
Ameryka Bourgeta . . . . .	134
Dusza japońska . . . . .	146
Kwestja Azji Wschodniej . . . . .	164
Pokój w Portsmouth . . . . .	177
Sprawa kobieca . . . . .	186
Cechy kobiece . . . . .	194
Kobiety pióra . . . . .	201
Współczesna polka . . . . .	207
Kwestja wyższego wykształcenia . . . . .	220

---

884-4

10  
20  
30  
40  
50



W czasach dzisiejszych, obok powieściopisarstwa i poetyki, rolę bardzo poważną, niekiedy przednią, odgrywać zaczęła publicystyka; artykuły publicystyczne i u nas wywierają już wpływ znaczny na umysły i słowo publicysty wymaga obrobienia nie mniejszego, niż wiersz lub powieść. Życie przynosi nam coraz więcej zagadnień i kwestji, na które publicysta powinien odpowiadać rozważnie i ze szczerem przekonaniem. Niniejszy zbiór zawiera artykuły, przeważnie wstępne, drukowane w ciągu ostatnich lat w większych piśmach polskich. Poruszone są w nich głównie zagadnienia narodowościowe, stanowiące dla

nas najczęstsze bodaj źródło rozmyślań, jak również omówione są niektóre nasze wewnętrzne zagadnienia społeczne; sprawie kobiecej także kilka artykułów poświęcono.

*Autor.*



## Przeobrażenia społeczne.

---

Kiedy ostatni król Rzeczypospolitej zamykał powieki nad Newą, państwo polskie nie istniało już na mapie Europy. Do grobu dziejów zeszyły wysokie sejmy, najjaśniejsze stany, wojewodowie, kasztelanowie, marszałkowie koronni i litewscy, niezliczone urzędy ziemskie i grodzkie, dyplomacja, wojsko. Był to nieznan w nowszej historii upadek całego aparatu państwowego.

Państwo upadło, ale pozostał naród. Jaki naród, widzimy to z zupełną jasnością dziś, z odległości stu lat dziejów porozbiorowych. Widzimy, że był to naród szlachecki, naród, siedzący po dworach, pozbawiony miast handlowych, rozkazujący rzeszom ciemnego ludu

rolnego, ujednostajniony i zniwelowany na całym obszarze swych posiadłości, jednolity co do poziomu wykształcenia, religji, języka, obyczajów—słowem naród, który był kastą raczej, niż narodem.

Jest to prawda historyczna, niezbita i uznana. Na chwilę tylko rozluźniły się łańcuchy kastowości, gdy ustawa 3 Maja zrównała stany szlachecki i miejski, a najwyższy wódz sił zbrojnych wydał słynny uniwersał o polepszeniu doli włościan. Ale Targowica i szybki rozwój wypadków zmiotły konstytucję i uniwersał.

Naród pozostał szlacheckim i w całym majestacie szlacheckim przeszedł do innych warunków państwowego bytu. Odtąd do narodu polskiego na długi czas przywiązany został tytuł szlacheckiego, i podczas, gdy cała Europa przeżyła oddawna okres demokratyzacji zrównoważenia stanów, Bismark stale nam rzucał z mównicy parlamentarnej epitet „Schlachtizenfolk“, a publicystyka Europy zachodniej i wschodniej posądzała nas o niezmienną szlacheckość ideałów i dążeń w życiu i polityce.

Dziś czasy inne. Stojąc na rubieży XX stulecia, możemy już powiedzieć, że nasza kastowość szlachecka została zmiażdżoną przez wiek XIX. Nie jesteśmy już narodem tylko szlachciców, narodem jednolitym aż do szablonowości, narodem zahypnotyzowanym w nużącej jednostajności pojęć i przesądów. Organizm nasz wchłonał w siebie pierwiastki, źródniczkovaliśmy się dziś, jak każde inne społeczeństwo europejskie, chociaż nie w takim może stopniu, jak inne. Samo życie, same dzieje urobiły i ukształciły, i w tem właśnie, żeśmy się społecznie przeobrazić mogli, leży niezbity dowód naszej żywotności.

Że ta ewolucja musiała się odbyć, że była konieczna dla naszego istnienia, o tem wiedzieli jeszcze twórcy ustawy majowej. Ale cały naród przyszedł do tej świadomości dopiero po kilku krwawych klęskach, po szeregu nieszczęść ekonomicznych, po stu latach bolesnej nauki.

Wiek XIX na terytorjum pogrzebanej Rzeczypospolitej oglądał, zamiast dawnych 36 województw koronnych i litewskich, zachodnie gubernje rosyjskie, zaś obok naprędce zesztu-

kowanych królestw Galicji i Lodomerji, jakieś panoramiczne południowe Prusy. Wszystkie te nazwy ukryły pod sobą wielką szlachecką masę, apatycznie przyglądającą się nowym porządkom. Śmielsze i gorętsze jednostki pociągnęły do legji włoskich i w głowach szlacheckich zaświtał wtedy kult Napoleona. Rycerski atak pod Somo-Sierra był czynem czysto szlacheckiej odwagi. Wielki korsykanin zdmuchnął z nad Wisły pruskie i austriackie prowincje, a dał nam Księstwo Warszawskie i kodeks, który potem pozostawił w spuściznie Królestwu kongresowemu. Kodeks napoleoński, regulujący byt cywilny ludności, nie zawierał wzmianki o podziale stanów. Szlachta polska dotąd słyszała tylko opowiadania o „deklaracji praw człowieka“ i o sankiulotach paryskich, których tak nieudolnie naśladowali sankiuloci warszawscy z r. 1794. Teraz znalazła się ona po raz pierwszy w obliczu ustawodawstwa, które na jej własnej ziemi ignorowało przywileje kastowe. I odtąd przez cały ciąg XIX stulecia Królestwo stanowiło liberalniejszą, bardziej wolną od wyłączości szlacheckiej dzielnicę polską. W Królestwie, wcze-

śniej niż gdzieindziej, szlachta poświęciła się stałej służbie społecznej. W epoce od traktatu wiedeńskiego aż do powstania listopadowego, najlepsi przedstawiciele stanu szlacheckiego szli do wojska narodowego, do urzędów, do uniwersytetu Aleksandryjskiego. Po roku 1831 wojsko przestało istnieć, uniwersytet zamknięto, ale otwarta była jeszcze służba cywilna, rozwijać się począł przemysł. Bank polski i jego rozwój, Towarzystwo Rolnicze i polepszenie kultury rolnej—wszystko to było dziełem i zasługą przeważnie szlachty; obok niej wytworzył się wtedy stan urzędniczy, który przejął jej kulturę i stał się zawiązkiem inteligencji miejskiej. Po najcięższym ze wszystkich błędów politycznych—po powstaniu 1863 r., które usiłowało bez powodzenia oprzeć się także na masach ludowych, zapewniając im ogólną równość, nastął długi okres ciszy, który przyprowadził nas na próg wieku XX. Te 37 lat stanowią ogromny postęp i doniosłą epokę w ewolucji stanów w Polsce, przedewszystkiem w Królestwie.

Dwie wielkie przemiany dokonane zostały w ciągu stulecia. Obie odbywały się równole-

gle. Jedna oddziaływała na drugą i żadna z nich nie odbyłaby się samodzielnie. Mimo to, każda zachowała swój charakter odrębny, każdą można badać pojedynczo, każda zasługuje na osobną kartę w dziejach cywilizacji polskiej.

Pierwszą jest wytworzenie stanu mieszczańskiego, stanu średniego. Drugą stanowi wewnętrzne przeobrażenie samej szlachty.

Szlachta polska nie byłaby tem, czem jest dzisiaj, gdyby nie miała przed oczyma silnych, kwitnących, porastających w pierze miast. Przykład pracowitości, zapobiegliwości, skrzętności mieszczańskiej, musiał oddziaływać na pojęcia i przekonania szlachty. W miarę jak coraz bardziej kurczyć się zaczynał prastary warsztat rolny, na którym pokolenia szlacheckie pracowały z dziada pradiada, otwierała się droga do coraz obfitszych zarobków przy nowych warsztatach, wyrastających, jak z pod ziemi, wśród wielkich ognisk przemysłu i handlu. Walka o byt zmuszała młodzież, wychowaną w tradycjach szlacheckich, do zakasania rękawów i szukania chleba tam, gdzie nań zapracować można. Ale też na odwrót, mie-

szczanin polski nie byłby tem, czem jest dzisiaj, gdyby twarda kolej losów nie była rzucała thumu młodzieży szlacheckiej do miast, gdyby między pierwiastkami społecznymi o odmiennem pochodzeniu i odmiennem wychowaniu domowem, nie było się wytworzyło braterstwo wspólnej pracy i gdyby po miastach naszych nie było powstało tyle nowych ognisk rodzinnych, w których krew szlachecka zmieszala się ze zdrową, ciepłą i od wiekowych narowów wolną krwią mieszczańską.

Szlachta nie dokonałaby sama przez się tej wielkiej przemiany własnego jestestwa, będącej najwyraźniejszym dowodem jej żywotności, gdyby po dawnemu żyć jej wypadło wyłącznie po dworach wiejskich i pędzić żywot na poły ziemiański, na poły konfederacki. Szkołą szlalcica w w. XIX było miasto ze swym przemysłem, ze swymi urzędami obywatelskimi i ze swemi pojęciami. I mieszczanin polski nie miałby tych znamion, po których poznajemy go wszędzie, gdyby nie ocierał się co krok o szlalcica, od którego przejął wiele nawyknień i upodobań, wiele znamion plemiennych, ale też, niestety i wiele wad.

Nowe pojęcia, właściwe naszej epoce, nowe prawa i nowe upodobania, nie dokonałyby tej przemiany bez współdziałania warunków ekonomicznych. Życie ekonomiczne wytworzyło w Polsce stan mieszczański. Dopiero gdy ta warstwa wzmogła się na siłach, można było mówić o prawdziwym demokratyzowaniu się społeczeństwa. Dopóki społeczeństwo było wyłącznie, lub prawie wyłącznie szlacheckiem, prąd demokratyczny, płynący z Zachodu, rozbijał się o twardą naturę rzeczy.

Z niepospolitą znajomością wykazuje to p. Piotr Górski w pracy swej o gminie. I cóż ztąd, że Napoleon dał krajowi prawo cywilne, nieuznające różnicy stanów? I cóż ztąd, że uszczęśliwiono kraj ustawą gminną, będącą odzwierciedleniem tej, którą pierwszy konsul nadał Francji? Władze przez pół wieku mianowały wójtem—szlachcica. Jedną ręką odebrano mu władzę patrymonjalną, drugą ręką zwracano mu tę władzę, przystrojoną nowożytnym krojem administracyjnym. Realne warunki ekonomiczne i społeczne okazały się silniejszymi od pojęć prawno-politycznych.

To samo zjawisko powtarza się w innych dziedzinach życia. Prawo nie uznawało różnicy stanów, a jednak wiemy, jak trudno było nieszlachecicowi uzyskać stopień oficerski w wojsku. Młodzież szlachecka, wstępująca w szeregi w r. 1831, zdobywała w lot stopnie i krzyże, z pominięciem starszych, zasłużeńszych i doświadczeńszych podoficerów nieszlacheckiego pochodzenia. W tym szybkim awansie ochotników, nie posiadających wykształcenia wojskowego, upatrują historycy powód osłabienia karności w armji i jedną z przyczyn ostatecznej klęski. Mimo frazesów demokratycznych, powtarzanych bezustanku, armja była szlachecką, bo szlacheckiem było społeczeństwo. Młodzi panicze, ku zgorszeniu starszych żołnierzy, stawali przed frontem, lub, co gorsza, pozwalali sobie na krytykę starszyny wojskowej. W odwadze może nie ustępowali osiwiiałym towarzyszom, ale odwaga jeszcze nie stanowi wszystkich zalet oficera. Dziać się to mogło tylko w kraju, w którym inteligencja nieszlachecka zbyt mało ważyła na szali, by móżdż zaprotestować przeciw takiemu stanowi rzeczy. Uprzytomnijmy to sobie wyra-

źnie, a zrozumiemy, jaką od owej chwili przebiegliśmy drogę.

Rozrost Warszawy i Łodzi, liczących razem z jakie 1,200,000 mieszkańców, rozwój przemysłu i handlu, zmienione z gruntu warunki polityczne — wszystko to wywarło stanowczy wpływ na zmianę organizmu społecznego, w którym nasamprzód dokonano uwłaszczenia odwiecznych jego podwalin - włościactwa. Nie mamy w ręku danych statystycznych, ale zgodzimy się na to wszyscy, że inteligencja miejska w Królestwie przewyższa liczebnie inteligencję wiejską i osiągnęła znacznie większy poziom wykształcenia. Wprawdzie inteligencja miejska przejęła kulturę szlachty i wchłonęła nawet w siebie przyzwyczajenia szlacheckie, ale nie jest to kasta, tylko luźny i zmienny stan trzeci, w rodzaju burżuazji paryskiej, wywierającej wpływ intelektualny na całą prowincję. Chłop polski, gdy dochodzi do świadomości narodowej i pragnie kultury, znajduje ją z łatwością w mieście, podczas gdy na wsi wieki całe dzieliły go od kultury dworskiej. Królestwo pod względem obojętności dla stanów, prześcignęło nawet Po-

znańskie i Galicję. Ta niwelacja stanów w Królestwie jest pewnikiem, z którym powinni się liczyć wszyscy publicyści.

Ewolucja stanu szlacheckiego na obszarze tak zw. gubernji zachodnich, odbywa się w warunkach odmiennych. Rozległy kraj, ciągnący się od Bałtyku niemal do morza Czarnego, posiadał za Rzeczypospolitej tak samo jednolitą masę szlachecką, jak i inne jej dzielnice. Ale nie przechodził on tak wielkich wstrząśnień politycznych, ani tak gruntownych przeobrażeń ekonomicznych, jak Królestwo. Dla tego też stan szlachecki przetrwał tam znacznie dłużej w swej wyłączności kastowej. A ponieważ pod nim było odmienne, choć pokrewne tło etnograficzne -- lud biało- i małoruski, który wcześniej należał do kościoła wschodniego, przeto szlachectwo nabrało tam zabarwienia etnicznego, stało się synonimem narodowości, zwłaszcza po wypadkach 1863 roku. Szlachectwo tam wiązało się z językiem i obrządkiem, i z natury rzeczy musiało bardziej wyłączać się i wyodrębniać z tła na którym wzrosło. Do kasty szlacheckiej musiał należeć każdy, kto pragnął, aby go uważano za



polaka i katolika. Tem się tłumaczy nadmierna ilość szlachty, którą podawano we wszystkich dziewięciu gubernjach na milion osób. Liczba ta, obejmująca naturalnie szlachtę drobną, zabijała samopojęcie kastowości, albowiem śmieszna jest rzeczą mówić o wartości przywilejów, z których korzystają całe masy.

Rząd rosyjski próbował uregulować tę sprawę, zapisując do stanów opodatkowanych wszystkich tych przedstawicieli szlachty, którzy nie zdołali udowodnić dokumentami swego pochodzenia szlacheckiego. Pomimo to liczba szlachty pozostała ogromną.

W ostatnim trzydziestoleciu wyłączność szlachecką podtrzymywały ustawy grudniowe. Szlachta oddawna dzierżyła w swem ręku dobra ziemskie, a dzierżyła je tem skwapliwiej, że, wypuszczając z rąk jedne, nie mogła już nabywać innych. Dlatego szlachcic-ziemianin siedział na gruncie przez całe pokolenia i samo dzierżenie ziemi dowodziło jego szlachectwa. Podczas gdy w Królestwie lub Galicji ziemia stała się przedmiotem nieustannych tranzakcji handlowych, ziemia na Litwie lub Podolu była przywilejem rodowym i została nim dotąd. Ni-

gdzie może tak silnie nie przechowały się tradycje i aspiracje szlacheckie, jak w tym kraju, i nigdzie może człowiek nie był bardziej szacowany podług majątku ziemskiego a zarazem szlactwa, jak tam, tembardziej, że samorząd i elekcje szlacheckie, trwały tam aż do r. 1863, a przywileje szlacheckie zachowane zostały formalnie przez ustawodawstwo rosyjskie, aż po dzień dzisiejszy, wyjąwszy własność ziemską.

Szlachta w tym kraju, w okresie istnienia uniwersytetu wileńskiego i liceum krzemienieckiego, była niewątpliwie najoświeceniwszą. Ona dała nam największych poetów— Mickiewicza i Słowackiego. Oświata i kultura tej epoki odbiły się na ideałach szlachty w końcu lat 50, kiedy lepsi jej przedstawiciele brali gorliwy udział w komisjach, obradujących nad uwłaszczeniem włościan. Ale po klęsce 1863 roku szlachta straciła wpływ na życie społeczne. Przeżyła ona po uwłaszczeniu włościan ciężkie przesilenie ekonomiczne i szeregi jej znacznie się przerzedziły. A te, co pozostały na stanowisku, zyskały większe wyrobienie życiowe, dojrzały społecznie, mają więk-

szą odporność ekonomiczną i wyzbyły się znacznej części dawnych nałogów i dawnej kastowości.

O smutnem położeniu szlachty wielkopolskiej—wiadomo powszechnie. Galicja znajduje się w szczęśliwszem położeniu. Tam ziemia usuwa się także szlachcie z pod stóp i są całe powiaty, gdzie majątki, należące do starej szlachty, można zliczyć na palcach. Ale politycznie szlachta tam jest silną, zwłaszcza w Galicji wschodniej. Tylko nie jest to już kasta, jest to poprostu stronnictwo przedstawicieli większej własności tabularnej, które uprawia kierunek konserwatywny z potrzeby raczej, niż dla idei. Ani Galicja, ani Poznańskie, wciągnięte oddawna w wir życia parlamentarnego, stojące oko w oko ze stronnictwami ludowemi i socjalistycznemi, nie mogą już nawet marzyć o kultywowaniu wyłączności szlacheckiej.

Wiek XIX dokonał swego dzieła: szlachta polska, jako stan polityczny, nie istnieje dziś na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej. Nie jesteśmy już narodem szlachciców. W XVIII wieku należeliśmy do nielicznych wyjątków

wśród rzeszy ludów cywilizowanych. Kto na położenie kraju patrzył rozumnie i trzeźwo, czuł, że narodowi potrzeba miast i mieszczaństwa, a każdy dzień przekonywał, że niepodobna w mgnieniu oka stworzyć całej warstwy społecznej.

Dziś przestaliśmy być wyjątkiem. Ewolucja nie dobiegła jeszcze kresu, ale każdy dzień przekonywa nas, że już od lat kilkudziesięciu kroczymy po drodze, na którą inne ludy weszły przed nami. A jeżeli i u nas niewykorzystany atawizm ściera się jeszcze z wymaganiami doby dzisiejszej, to rzec można to samo, w większym lub mniejszym stopniu, o całej gromadzie ludów zachodnich. Rękojmią dalszego rozwoju jest praca. Cokolwiek zaś można zarzucić potomkom dawnej szlachty, każdy nieuprzedzony sędzia musi przyznać, że ogromna ich większość nauczyła się pracować. To jedno tylko lekarstwo może wytepić pozostałości dawnych błędów. Nic tak, jak wspólna praca, nie utrwała poczucia wspólnych praw i wspólnych obowiązków, nic tak, jak ona, nie spaja różnorodnych pierwiastków.

Wobec i ogromu pracy zawodowej, i zabiegów społecznych, czekających nas jutro, oczywiście nowe rzesze pracowników w naszym narodzie, które przyswoją sobie kulturę, nie będą już miały czasu na przyswojenie sobie szlacheckości. Stan szlachecki spełnił swoje zadanie historyczne i kulturalne, i wiek XX nie będzie wymagać od niego ani specjalnych poświęceń, ani sławy, bo wymagać ich będzie od całego narodu.

---

## Wszechpolskość.

---

Zmiany społeczne, jakie naród polski przeszedł w zeszłym wieku, przeistoczyły dawny układ jego warstw i ich stosunek wzajemny. Odbyła się ewolucja klasowa, nastąpiła niwelacja umysłowa i ekonomiczna różnych stanów, naród upodobnił się pod wielu względami do szybko rozwijających się społeczeństw zachodnich. Koleje, telegrafy i telefony, rozwój przemysłu i handlu wpłynęły na większą łączność tych warstw i na większe ujednostajnienie pojęć ogólnych. Prasa i możliwość stowarzyszania się zbliżyły do siebie umysły, i bez przesady rzec można, że nie znamy już dawnej różnicy nawet w stopniach wykształcenia. Magnat, biskup, właściciel ziemski, prze-

mysłowiec, lekarz, prawnik, artysta, dziennikarz, oświecony żyd, inteligentny rzemieślnik lub włościanin, wreszcie student — interesują się dziś temi samemi kwestjami społecznemi, mają te same upodobania estetyczne, czytają te same pisma i posługują się temi samemi pojęciami ogólnemi, każdy w sposób, jaki wydaje się mu najodpowiedniejszym.

To znaczy także, iż naród nasz bardziej, niż przedtem, stał się uzdolnionym do przyjmowania idei politycznych i operowania niemi, czy to na arenie parlamentarnej, czy to w prasie, czy wreszcie w dyskusjach towarzyskich. To droga wszystkich narodowości europejskich, które doszły do pewnego poziomu kultury i do pewnej niwelacji. Jako narodowość, wytworzyliśmy organizm skończony.

Ludzie, którzy już nie żyją w wyłączności kastowej i nie pozostają w odosobnieniu, na jakieś ich skazywało poddaństwo, albo gwałtowne różnice wyznaniowe i rasowe, stanowią dziś wspólną gromadę, a ta gromada składa się z osobników, uprawnionych do zamienia-  
nia z sobą opinij o rzeczach ogólnych i do po-

stępowania w duchu swoich opinij, czy swoich przekonań.

Wszędzie na zachodzie Europy wielkie społeczeństwa doszły do zróżniczkowania opinij i potworzyły w swem łonie liczne grupy o odmiennych pojęciach, dążące do wspólnych celów, a wzajem się ubiegające o przewagę. W tych grupach, czy stronnictwach, po części znalazły sobie ujście dawne idee wyłączności stanowej, rasowej, wyznaniowej, ekonomicznej. U nas zaszło poniekąd to samo. Może jęszcze nie doszliśmy do wytworzenia u siebie stronnictw o trwałych i określonych obliczach, jak na Zachodzie; ale u nas zarysowują się już tak znaczne różnice pojęć politycznych, że przybierają w warunkach odpowiednich nawet formę partyj o odrębnych popędach egoistycznych. Od prymitywnego podziału na arystokratów i demokratów, przeszliśmy do podziału na kilka grup konserwatywistów i progresistów, a pomiędzy nimi wyrosły grupy pośrednie, z kilku różnemi odcieniami tendencyj narodowych i społecznych. Idee te znalazły swój wyraz w licznych broszurach i pamfletach politycznych, w wyda-

wnictwach, odezwach, programach, nawet w studjach socjologicznych i ekonomicznych. Te rozmaite tendencje sprawiają już wrażenie nie tylko różnorodności, lecz nadmierności. Wątpić nie można, że podążamy za Europą i za gorączkowym różniczkowaniem jej pojęć politycznych i społecznych i za ich skażeniami.

W chwili dzisiejszej najpotężniejszą dźwignią w życiu politycznym jest wciąż jeszcze narodowość. To rzecz zrozumiała. Cały wiek zeszyły narody środkowo-europejskie zużyły na zjednoczenie swych części, rozłączonych siłą wypadków w poprzedniej epoce absolutnej przewagi państwa nad społeczeństwami. Po zjednoczeniu zaś nastąpiła konsolidacja wewnętrznych organizmów narodowych, które uzyskały wpływ na swe rządy i unarodowiły je. Dziś więc rządy żyją temi samymi pragnieniami, co ich narody, kierują się temi samymi tendencjami, co one, nabierają tych samych wad, co one. Nawet anglicy, owa rasa oddawna najbardziej zrównoważona, nasiąkali dżingoizmem. Nacjonalizm francuzki, niemiecki, włoski, podnoszą głowę, nawet w Ameryce nacjonalizm coraz częściej szuka dla siebie

ujścia; nie mówimy już o nacjonalizmach narodowości pomniejszych.

Czyż w tych warunkach w społeczeństwie naszym, odznaczającym się największą może w świecie wrażliwością na kwestję narodowości, nie miał objawić się nacjonalizm w formie równie ostrej, jak gdzie indziej? Objawił się i przybrał formę, a z formą miano. Obok dzingoistów w Brytanji, obok altdeustch'ów pruskich i austrjackich, obok narodowców czeskich, rusińskich, obok sjonistów, stanęli „wszechpolacy“, którzy w szeregu nacjonalistów, uzbrojonych w potężne środki państwowe, i nacjonalistów, pozostających pod przewagą innych organizmów państwowych, zajęli miejsce pośrednie, bo w dwóch dzielnicach nie mają w rękę władzy, za to w trzeciej dzierży władzę ich własna narodowość. „Wszechpolacy“ przeto mają możność jednoczesnego doświadczenia na sobie, czem jest nacjonalizm we wszelkiej postaci.

Konserwatyści, czyli raczej umiarkowani i trzeźwi politycy, liczyli się dotąd u nas z działaczami demokratycznymi, pragnącymi wprowadzić do życia szersze warstwy ludu

pod hasłem równouprawnienia i postępu. Z ludu robotniczego w Galicji powstało nawet stronnictwo socjalne pod wodzą Daszyńskiego. Stronnictwo konserwatywne we wszelkich swoich odmianach zasadę narodowości popierało i wytrwale jej broniło; demokratyzm postępowy również gorliwie cenił narodowość i wspierał nawet ruch socjalny, o ile ten narodowości polskiej należne stanowisko zapewniał. Gdy więc przyszli „wszechpolacy“ lwowscy i obwołali prawicę i lewicę niemal za zdrajców polskości, a siebie za prawdziwych jej apostołów, musiało to wydać się przesadnem.

A jednak z tą wybujałością trzeba się liczyć. Trzecia część Niemców austriackich poszła za głosem wszechniemieckim Schoenerera i Wolfa; połowa co najmniej Prusaków uwierzyła w ewangelję hakatystyczną Tiedemana. I z pewnością znaczna część naszego społeczeństwa gotową była uwierzyć w zbawienność wszechpolskiego bractwa, bo naród słucha chętnie tego, kto wykrzykuje jego imię, albo stawia go na piedestale wyniosłej odrębności.

Nacjonałiści nasi ogłosili, że dążą do „utrwalenia naszej odrębności i zupełnego zamanife-

stowania naszej indywidualności narodowej.“ i że wszystko czynią w imię interesu narodowego, który stawiają wyżej nad wszystkie inne względy.

Z takimi hasłami wystąpili na arenę ludzie, którzy przywłaszczyli sobie monopol prowadzenia społeczeństwa do czynu. Siebie ci nowi prorocy narodu dumnie nazywali polakami, nieprzychylnych sobie chrzcili ułamkowo: pół-polakami i ćwierć-polakami. Wzięłina siebie misję budzenia ludu. Głosem swym najprzód obudzili, jak wiadomo, ministrów pruskich, którzy odczytywaniem w parlamencie ich górnolotnych frazesów o oderwaniu od Prus dzielnic polskich, ułatwili wyznaczenie nowych milionów na zakupno ziemi polskiej. Polityka wszechpolska rozpoczęła się wtedy od szukania placówek we wszystkich dzielnicach, od posyłania zapalnych młodzieńców do sądów pruskich, od trwonienia energii społecznej, nakazywanego w imię narodu.

Wszechpolacy zdobyli się nawet na filozoficzne usprawiedliwienie swojej polityki, puszczając w świat studjum o egoizmie narodowym (Z. Balicki). Modląc się o polskiego

Bismarka, zapominali, że trzebaby mu dać najprzód półtora miljona bagnetów. Nie zrażona zupełnym brakiem środków, wszechpolskość o mały włos nie propagowała akcji czynnej przeciwko całemu światu, a przynajmniej nie wahała się głosić konieczności walki społecznej, religijnej i nawet ekonomicznej, przeciw o wiele silniejszym narodowościom sąsiednim; naśladowała świadomie podobne tendencje, powstające w łonie tamtych narodowości. Filozofja wszechpolska utworzyła sobie ideał „obywatela-żołnierza“, mającego lada chwila leżeć na szańce, choćby nawet bez nadziei powodzenia. Łatwo zrozumieć, że taki bojowniczy nacjonalizm, nie mogąc wcielić się w czyn, rozdrobnił się na szereg małych utarczek prasowych, bojkotów i drobiazgowej nienawiści codziennej. Innego wyjścia nie było.

Wszechpolskość zrodziła się z łona demokratycznego i nawet utożsamiała się z demokracją narodową; chciała objąć wszystkim naród i wszystkie jego warstwy. Chciała wesprzeć się na całym ludzie i pozyskać go dla swojej filozofji politycznej. Demokratyzmem posługiwała się jako czynnikiem pomocniczym,

podporządkowanym interesowi narodu. A jednak stała się rzecz ciekawa: demokraci poczeli wypierać się wszechpolskości, gdy okazało się, że jej nie chodzi o postęp społeczny, ale o tryumf wąskiej idei narodowej.

Ci, co zapatrzeni byli w Europę, wciąż idącą po drodze społecznego postępu i wiedzy, ci zrozumieli, że wszechpolskość rzuca pod nogi nacjonalizmowi i postęp i wiedzę. Postępowcy wybuchnęli oburzeniem przeciwko akcji wszechpolskiej i przeciw osobistościom, które je rozpoczęły. Zważyć jednak należy, że lwowscy prowodyrowie nacjonalizmu opuścili niezbyt dawno obóz postępowy, aby szukać sobie popularności u polskiego tłumu. Przewiska kameleonów i nieuków są jeszcze najslabszemi z tych, któremi postępowy obóz warszawski obrzucił usadowionych nad Pełtwią nacjonalistów wszechpolskich. Nacjonaści odpowiedzieli postępowcom znanym zarzutem zdrady narodowej.

Ta walka jest pouczająca. Dowodzi ona, jak dalece utkwily już w narodzie ziarna kultury ogólnoeuropejskiej, jeżeli chińskie odgrodzenie się od innych narodów, propago-

wane przez wszechpolskość, napotykało u nas taki opór. Jeden z pisarzy postępowych (Brzozowski), odgrodzienie się to przyrównał do obaw osła, który widząc, że woły jedzą trawę, przestaje ją jeść, bo boi się zostać wołem. Kultura bowiem jest jedna, narodowość — to tylko podkład dla kultury powszechnej i postępu, a tymczasem wszechpolskość chciała zasadę narodowości postawić wyżej nad ideę kultury. Zasadniczą ideą postępowców, jak sami twierdzą (Niemojewski), jest to, żeby społeczność polska przedstawiała doskonały typ kulturalny, a nie dziką horde; prawdziwa demokracja nie może przeto mieć nic wspólnego z orgjami nacjonalizmu.

Tak przywitał wszechpolaków obóz postępowy. Socjaliści poszli jeszcze dalej w potępianiu ich polityki. Język ich o wiele brutalniejszy i ostrzejszy, nie przebierał w wyrazach. Beznarodowcy społeczni nie mogli oczywiście żywić żadnego uznania dla nacjonalistów i dla ich teorii odgradzania się od całego świata. Wszechpolacy, lubiący się nazywać demokratami narodowymi, doznali zatem najgwałtowniejszej odprawy od wyznawców

demokratyzmu społecznego we wszelkich jego odłamach.

Wszechpolskość tak samo nie zyskała poparcia i w obozie zachowawczym. I nie dziw. Opinia konserwatywna i umiarkowana nawykła do liczenia się tylko z rzeczywistościami warunkami bytu, do unikania wszelkich radykalizmów, do uznania przez innych swojej powagi. Wszechpolskość na terenie galicyjskim uczyniła była próbę wciągnięcia do swojego wiru żywiołów narodowych, dzierżących tam władzę. Był moment, kiedy miała złudzenie, że konserwatyści przechylają się na jej stronę, że sankcjonują jej akcję, że nawet dopuszczają ją do władzy. Postępowcy wyśmieli te złudzenia kilku lwowskich wszechpolaków, którzy się znaleźli przy stole namiestnikowskim, a samo zbliżenie się ich do tych sfer nazwali lokajstwem. Zaś organy konserwatywne bez ogródek oświadczyły, że działacze wszechpolscy nie budzą w nich zaufania i posunęły się nawet do twierdzenia, że wszechpolskość jest radykalizmem równie szkodliwym, jak radykalizm socjalny. Tak więc wszechpolacy, którzy odgradzili się murem od sąsiednich narodów,

musieli u siebie w domu jeszcze odgrodzić się od konserwatystów i postępowców. I z tem wszystkim nie przestali wołać, że „cały naród“ był z nimi.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że wszechpolacy operowali ideami najbardziej rozpowszechnionymi w naszym narodzie i łatwemi dlań do zrozumienia, to istotnie mogli ulegać złudzeniu, że cały naród był z nimi. Mieli ciągle na ustach postulaty o jego nieprzedawnionych prawach, o konieczności bronienia jego stanowiska przed obcemi zapędami, o uświadamianiu szerokich mas, o nietykalności jego języka i wierzeń, jego kultury i obszarów terytorjalnych. Wystawiali przytem jedną najwyższą rację; co polskie, to najlepsze. Ani idea społecznego rozwoju, głoszona przez naszych postępowców, ani idea trzeźwego i lojalnego korzystania z faktów, pielęgnowana przez konserwatystów, nie są w stanie porwać za sobą całych warstw. Ale idea nacjonalizmu mogła porwać masy. Wszechpolacy wiedzieli dobrze, że ich hasła są zaczerpnięte ze skołatanej duszy narodu, i że muszą wywierać wrażenie na wszelkie umysły zapalniejsze i mało kry-

tyczne, zwłaszcza na młodzież i kobiety. I dla tego mogli sobie pozwolić na iluzję przewodniczenia całemu narodowi, chociażby ten lub ów obóz występował przeciw nim wrogo. Mogli się nawet ludzi, że pomimo wszelkich wzdragań się na razie, całe społeczeństwo pójdzie za nimi, podobnie jak przed czterdziestu laty poszło za „czerwonymi.“ Mielśmy już nawet początkowe podrygi w postaci ulicznych manifestacyj lwowskich, albo wypraw na obce konsulaty. Dojrzałe społeczeństwo nie poszło zresztą już tak łatwo na lep tych tanich, a jednak niebezpiecznych zabaw i zostało spokojne. Ale to nie wykluczało możliwości wznowienia tych eksperymentów przy innej sposobności. Gdy uczucie narodowe zostanie silniej podrażnione, a wszechpolskość będzie przemawiać jeszcze donioślejszym głosem i do liczniejszych tłumów, wtedy jej głos na placu będzie może słuchany przez tłumy.

Jest rzeczą jasną, że skażeniom nacjonalizmu w naszym społeczeństwie nie można przyglądać się bezradnie. Należy je zwalczać. Przeszliśmy już krańcową fazę ubóstwiania swojej narodowości w okresie naszego mesja-

nizmu narodowego i politycznego; nowe próby są zupełnie zbyteczne i nie odpowiadają już duchowi czasu. Wprawdzie wszechpolacy lwowscy zmodyfikowali kult narodowości na sposób nowoczesny, tworząc nacjonalizm egoistyczny, na wzór bismarkowski, ale i ten przeobrażony nacjonalizm nie przestał być szkodliwym, pomimo zmodernizowania. Od poważnych mickiewiczowskich ksiąg pielgrzymstwa przeszliśmy do narodowej ewangelji Jastrzębów; od skarg jeremiaszowych na trzy fronty — do małodusznej prasowej nienawiści dla wszystkich swoich sąsiadów, rusinów, żmudzinów, żydów. To wszak dzieło nacjonalizmu, który się nazwał wszechpolskim.

Nie było inteligentnego polaka, któremu tak lub owak nie wchodził w drogę ów nacjonalizm. Każdemu wytaczano kwestję, czy jest konserwatystą, czy narodowcem, czy postępowcem. Musiał wybierać pomiędzy trzema etykietami, na których napisano: stańczyk, wszechpolak, społecznik. I gdyby chciał zostać zwykłym polakiem, byłby w oczach nacjonalistów niczem. Bo wszechpolskość przychodziła do każdego z zapytaniem: czy wie-

rzy całkowicie w to, że nacjonalizm jest treścią i osią bytu?

W takich warunkach łatwo o obawę, że sprawie nie pomożemy. Dopóki wszechpolskość była tylko hasłem łączności politycznej, można było spokojnie przyjmować jej postulaty. Ale z chwilą, gdy weszła w życie społeczne i usiłowała pochwycić ster wątej nawy, należało wezwać do umiarkowania i rozważań. Są rzeczy jasne jak blask dnia, które nigdy zadość powtarzać. Nie megalomanja wyłączeniowości narodowej, lecz wspólna praca ludów posuwa świat naprzód i w tym ogólnym pochodzie każdemu dzieje się lepiej. Kultura jest większym twórcą, niż nienawiść. Jeżeli u naszych sąsiadów dokoła wyrastają hakaty-zmy i inne nowotwory nacjonalistyczne, nie dziwny się, że i u nas nastąpił taki sam odruch nienawiści rasowej. Ale nie uważajmy tego zjawiska za wynik zdrowego i normalnego rozwoju narodowego. Wszechpolskość jest tak samo niepożądanym i wrogim postępowi objawem, jak wszelkie inne nacjonalizmy. Ona bowiem przejdzie, a zostanie to, co zawsze tworzyło i tworzy istotną duszę na-

rodu: szczerą miłość jego dobra bez nienawiści dla innych narodowości, gorące umiłowanie języka bez prześladowania innych i głębokie przywiązanie do ziemi bez wydzierania jej innym. Umiarkowana, poważna i wytrwała praca około rozwoju swojej i powszechnej kultury—oto zasadnicza cecha prawdziwego obywatela kraju i jego polityki społecznej.

---

## Pruskie miliony.

---

Wielokrotne groźby pruskich ministrów i hakatystów są łatwe do urzeczywistnienia. Pamiętamy oświadczenie w sejmie pruskim, że gdy komisji kolonizacyjnej zabraknie pieniędzy na wykupno ziemi polskiej, rząd nie poskapi jej dalszych milionów, wiemy, że od dłuższego czasu organy hakatystyczne usilnie domagają się usunięcia języka polskiego ze zgromadzeń publicznych; wiemy, jak uporczywie one żądają, aby pisma polskie wychodziły z równoległym tekstem niemieckim, a nawet żeby wcale nie wychodziły. Te groźby nie są płoennym zgrzytem piór dziennikarskich, ani krasomówczym popisem tylko ministrów; to symptomy zaciekłości, ogarniającej sfery

rządowe w Berlinie, podniecającej znaczną część społeczeństwa niemieckiego, która stoi pod znakiem hakaty. Rząd, wraz z przeważną większością sejmu, gotów jest stanowić dziś wszelkie prawa, byle tylko zaspokoić gorączkową żądzę zgniecenia polaków, a idea ta jest natrętną, że w imię wszelkiej idei nismieckiej sam kanclerz Rzeszy nie wahał się w obliczu przedstawicieli ludności wołać, że „kwestja polska jest najważniejszą kwestją wewnętrzną w Niemczech.“

Niema chyba zadania bardziej niewdzięcznego, jak dochodzić, z kąd powstała i dlaczego się zwiększa ta nienawiść rządu i hakatystów do polaków. Może historyczna Nemezis teutońska w ten sposób chce zatrzeć w pamięci Hohenzollernów dni, w których książęta pruscy na rynku krakowskim klękali przed królami polskimi, może naród pruski czuje się powołanym przez Opatrzność do zniszczenia na ziemi poznańskiej żywiołu, pokrewnego wielkiemu wschodniemu wrogowi Niemiec; może rząd berliński obawia się kilkudziesięciu gimnazystów i akademików polskich, tworzących jakoby tajne związki w celu oderwania się od

Prus; może dzieci wrzesińskie, milczące, ponure na lekcjach katechizmu niemieckiego, wydały się temu rządowi zarodkiem przyszłych buntowników przeciw jego powadze. Wszystko to być może. W polityce jednak ważną jest nie psychologia uczuć, a siła faktów. Musimy liczyć się z temi faktami, które zaszyły, winniśmy przewidzieć te, które zająć mogą.

Dziś można uważać prawie za fakt spełnienie wnioski o dalszych funduszach dla komisji kolonizacyjnej. Półurzędowe dzienniki berlińskie nie tały, że rząd pruski chętnie wystąpi w sejmie z wnioskiem o zwiększenie 200-miljonowego funduszu kolonizacyjnego do 350 milionów marek, oraz zażąda dodatkowo 100 milionów marek na zakupno dóbr polskich, w celu zakładania na nich wzorowych domenów państwowych. Gdy sejm pruski zużyje te nowe miliony, wówczas fundusze kolonizacyjne, wymierzone przeciw polakom, osiągną cyfry 450 milionów marek. A ztąd już blisko do pół miliarda. To już cyfra imponująca.

I jakby dla mocniejszego podkreślenia, że żywioł polski skazany jest na zagładę, te same organy półurzędowe zapowiadały, że rząd gotów wystąpić także z projektem zakazu, czy ograniczenia języka polskiego na zgromadzeniach publicznych. Narodowi polskiemu zatem mają być wydzierane jednocześnie ziemia i język. Że sejm uchwaliłby te ustawy językowe, wątpić nie mamy powodu. Posłów polskich tam nikt uważnie nie słucha, odwołań się do brzmienia konstytucji większość nie uwzględni. Administracja pruska uznaje co najwyżej „prusaków mówiących po polsku“, ale w zarożumiałości urzędniczej traktuje ich, jako gatunek przejściowy. I aby prędzej pozbyć się tego gatunku, rząd pruski nie żałuje funduszków narodu, sejm—swego sumienia. Prusy stworzyły sobie fikcję, że sprawa polska może być załatwioną za pomocą biurokracji. Fikcja zamieniła się w rację stanu.

Kwestja polska w Niemczech, podług publicystów pruskich, nie jest wytworem lat ostatnich. Jej początki sięgają końca XVIII wieku, gdy Prusy urwały sobie sporą połąć

dawnego państwa polskiego. Odkąd zaś kongres wiedeński w r. 1815 ostatecznie przyznał Prusom prawo posiadania dzisiejszego Księstwa Poznańskiego, musiały one ustalać swój stosunek do nowych poddanych. W czasach „oświeconego absolutyzmu“ starano się szanować narodowość. Szanowały ją Prusy.

Mając pod bokiem konstytucyjne Królestwo polskie z narodowym rządem i armją, Prusy również nie odmawiały swoim poddanym polskim „ojcowskiej opieki“ jak się z dumą wyrażają historycy pruscy. Poznańskie miało swego namiestnika, ks. Radziwiłła, swoje polskie szkoły, polskich urzędników. Ale stan taki trwał zaledwie lat kilkanaście. W roku 1831 przekonał się rząd pruski, że polacy w trzech polskich dzielnicach utrzymują z sobą łączność i uważają się za jeden naród. Gdy w Królestwie nastąpiła po złamaniu powstania reakcja, król pruski udzielił swoim poznańskim „buntownikom“ amnestji. Historycy pruscy ten fakt podkreślają. „Łaska królewska“ poszła jednak w parze z przezornością, albowiem rząd pruski wkrótce przedsięwziął kilka środków ku zawarowaniu niemczyźnie więk-

szej powagi w Poznańskim. Naczelný prezes prowincji von Flotwell uznał, że niemczyzna tam potrzebuje obrony. W r. 1834 akta polskie musiały już posiadać przekład niemiecki. Z chwilą zaś, gdy w r. 1836 arcybiskup Dunin wystąpił przeciw mieszanym małżeństwom, przekonał się król pruski, że jego „ojcowska polityka nie budzi w polskich poddanych uczuć wierności, ani nawet wdzięczności.“ Gdy potem Fryderyk Wilhelm IV raz jeszcze spróbował być względniejszym dla polaków, oni odpowiedzieli mu na to rokiem 1846, a w r. 1848 zdradzili usposobienie rewolucyjne, równie, dodajmy ze swej strony, rewolucyjne, jak ludność Berlina. Pokazało się nadto, że polacy nie tylko zamierzają „oderwać“ od Prus Poznańskie, ale że chcą zagarnąć nawet Prusy zachodnie i Szląsk: już w owych czasach arcybiskup Przyłuski oświadczał, że katolicyzm a polskość w tej prowincji—to jedno. „Niewdzięczność polska“ i na ten raz doczekała się amnestji w r. 1849, ale rząd znowu pomyślał o dalszych sposobach obrony w Poznańskim niemczyzny, której chciały przewodzić polonizm i katolicyzm. Po roku 1863 Prusy

przekonały się ponownie, że sprawa polska nie traci nic ze swej zapalności. I mimo to, przyłączając Poznańskie do związku Rzeszy, Prusy jeszcze raz zapewniły, że chcą szanować język i wyznanie polskich poddanych. Publicyści pruscy zaznaczają, że polacy ustawicznie myśleli o oderwaniu się od Prus, że do dziś dnia dopomaga im w tych dążeniach konfesjonał, który generał Gneisenan jeszcze w r. 1831 nazwał wojennym sztabem polskim. Do dziś dnia awangardę patrijotów polskich stanowi młodzież, ta młodzież, która rozpoczynała szkodliwe ruchy w latach 1831, 1848 i 1863. Zmieniają się formy, ale treść dążeń polskich pozostaje ta sama. Ze zmianą okoliczności zmieniają się sposoby postępowania polaków. Rozumiejąc, że obecnie jawne powstanie jest niemożliwe i nie życząc sobie próżnego krwi rozlewu, polacy postanowili uświadomić całą młodzież i szerokie masy swego ludu; ztąd wynika „tragikomedja“ wrzesińska, w której lud polski występował w charakterze marjonetek, kierowanych ręką „patrijotów“ polskich; ztąd procesy akademików i gimnazi-

stów, ztąd związki studentów polskich w Berlinie.

Tak rozumieją, tak piszą historję urzędowi dziejopisowie i publicyści pruscy. Podług nich ta djagnoza „polskiej sprawy“ wskazuje, że jedynym sposobem wybawienia Niemiec z tej choroby, jest zniszczenie złego ze szczętem: w granicach Poznańskiego musi być zaszczipiona niemczyzna w jak najsilniejszych dawkach.

Projektu podwyższenia funduszów na kolonizację antypolską do 450 milionów marek, nie można uważać za niespodziankę. Gdy Bismark tworzył komisję kolonizacyjną z kapitałem 100 milionów marek, wiedział, że ta suma wystarczy na zakupno i zagospodarowanie tylko drobnego szmatu Wielkopolski. Podwoiwszy niedawno ten kapitał, rząd pruski rozumiał, że i dwustu milionów marek dla szerokich celów germanizacji byłoby za mało. Mógł wprawdzie nie spieszyć się z żądaniem dalszego kredytu na wywłaszczenie polaków i obrać drogę powolniejszego działania. Ale rząd usłuchał gorączkowych majaczeń hakaty i żądał jeszcze 250 milionów, chciał nawet je

uzyskać od najbliższego sejmu, nie czekając na następny. Wprawdzie mógłby rząd starać się o przeprowadzenie zakazu polakom kupowanie ziemi, nawet o przymusowe ich wywłaszczenie z posiadanych dotąd gruntów. Ale w Poznańskim, na nieszczęście, niema żadnej rewolucji. Konstytucji dla polaków, wobec dotychczasowej większości w parlamencie, zawiesić niepodobna. Rząd jest w tem położeniu, że nie może zabrać, lecz może kupić. To też nie waha się zapłacić wiele, aby tylko kupić prędzej. I kto wie, czy wkrótce nie zażąda jeszcze paruset milionów?

Gdyby książę żelazny i jego poplecznicy występowali przeciwko polakom, była to może polityka indywidualna pomysłowego męża stanu, ale dziś ta polityka została uświęcona mowami od tronu, praktyką władz i gorącym poparciem wielkiej rzeszy hakatystów, stała się polityką narodu. Walka doznaje dziś napięcia, jakiego dawniej nie miała. Dawniej królowie pruscy znali tylko swoich polskich poddanych i traktowali ich „po ojcowsku“, wybacząc im niesforność. A dziś król pruski zna już tylko polaków, opartych o całą

słowiańszczyznę. Tych oczywiście traktować chce, jako nieprzyjaciół dziedzicznych i wrogów niebezpiecznych. A czyż na ziemi niemieckiej mogą istnieć wrogowie Niemiec?

Jeżeli publiczna opinia niemiecka zapyta rządu, czem polacy w Prusach dowiedli wrogiego usposobienia dla Niemiec, rząd odpowie: prasa polska podszczuwa polaków, ludność wrzesińska rozbija szkoły niemieckie, księża polscy uczynili z konfesjonatu narzędzie propagandy polskiej, młodzież polska potworzyła tajne związki, a wszystko to w celu oderwania się od Prus i stworzenia państwa polskiego, a może przyłączenia się do innego państwa. Takie właśnie oskarżenia z rządowych trybun parlamentarnych rzucali w ciągu tej zimy ministrowie pruscy, uzbrojeni w artykuły, tłumaczone z szowinistycznych pism polskich, w akty sądowe, w raporty landratów i we wszystko, co świadczy przeciw lojalności polaków. Warunki dziś się tak złożyły, że każdy nieostrożny krok ze strony polskiej pociąga rząd pruski do ostrzejszych wystąpień, a każde ostre wystąpienie rządu burzy ludność polską. Trudno o spokój tam,

gdzie gorączka nienawiści trawi umysły, gdzie ogłoszona jest krucjata narodowa i państwowa przeciwko innemu narodowi.

Ale spokój jest potrzebny. Rzeczą tych publicystów niemieckich, którzy nie zatracili w sobie jeszcze poczucia sprawiedliwości i cywilizacyjnych zadań Niemiec, jest, aby wpływali na uśmierzenie furji teutońskiej u haka-tystów i złagodzenie zapamiętałości rządu. Rzeczą naszą jest zachować, o co w takich ra-zach strasznie trudno, równowagę umysłu. Je-żeli Poznańskie dużo strat poniosło w walce z Niemcami, to również wiele, albo więcej jeszcze ponieść ich może w przyszłości. Jeżeli straciła na rzecz komisji kolonizacyjnej 3 pro-cent swego obszaru, to może stracić jeszcze 10 albo 15. Jeżeli straciło swój język w są-dach, na pocztach, na kolejach, to może go stracić na zgromadzeniach publicznych i na-wet w prasie, gdy się ziszczą pożądanja ha-katy. Jeżeli, jak powiedział ktoś na jednym z ostatnich wieców poznańskich, ludność pol-ska liczy już spory odsetek proletariatu, to ten odsetek może wzrosć jeszcze bardziej po walce ekonomicznej z Niemcami. Spokój przeto

dzisiaj jest niezbędny. Łudziłby się, kto by sobie wyobrażał, że ten spokój zachęci rząd do szybkiego cofnięcia rozporządzeń antypolskich, że korona uzna natychmiast lojalizm Polaków i przemówi po „ojcowski” wzorem poprzednich królów; że tysiące członków Ostmarkverein'u zaprzestaną od razu swego szczucia na Polaków. Tam, gdzie korona, rząd i całe stronnictwo narodowe zespoliło się w jednej idei: zagłady—tam spokój i lojalność polskiej ludności nie sprawia na nikim wrażenia. „Nie spoczniemy, póki nie zapewnimy cywilizacji i obyczajom niemieckim stanowczego panowania na ziemi, zdobytej krwią niemiecką”—tak rzekli przedstawiciele rządu berlińskiego. *Delenda est!*

Ale spokój ludności polskiej zmniejszy siłę tych ciosów, pozwoli przetrwać najgwałtowniejszy okres tępielstwa. Idee przechodzą, jak wszystko na świecie; słabną i tracą moc zarażania. Tak przeszła idea wojen krzyżowych, tak przejść musi szal pruski. Podobnie, jak walka wyznań straciła ostry charakter, straci go walka narodowości. Wszak zaledwie 35 lat temu król pruski zapewniał pod-

danych polskich, że i w związku niemieckim pozostaną polakami, że zachowają swoją mowę ojczystą i wykonywać będą swoje zwyczaje i obyczaje.“ I nie dalej, jak kilka lat temu, kanclerz Caprivi, za zgodą, a może z inicjatywy Wilhelma II, próbował zastosować łagodniejszy kurs polski. Jeżeli dziś z tego samego tronu padają wyrazy nieżyczliwe, jeżeli ten sam rząd oświadcza, że polaków wytępi, nie jest-że to dowodem, że furja teutońska wzmogła się, aby potem może znowu złagodnieć. Może być, że żywiołowi polskiemu znowu kiedyś się uda uzyskać bardziej ludzkie warunki bytu. Spokój i rozważa nie powinny opuszczać tych, którzy się znajdują w niebezpieczeństwie.

Nie potrzeba też wpadać w rozpacz, ani opuszczać rąk. Są granice, po za którymi zaczyna się niemożliwość. Rząd, nawet najpotężniejszy, nie zdoła przekroczyć miary, którą mu zakresliła natura rzeczy. Zgermanizować kilka milionów polaków nie można reskryptami ministrów berlińskich; na to potrzeba długich dziesięcioleci, stuleci, potrzeba panowania nad innemi dzielnicami polskimi. Po-

tęga germanizatorską zatrzymuje się u Mysłowic i Kalisza. Ci sami niemcy, którzy tak tryumfalnie obwieszczają zagładę polakom nad Wartą, polszczą się jeszcze dotąd w Królestwie. W samych Prusach żywioł polski nie zmniejsza się liczebnie, lecz wzrasta. Nowe fundusze, uchwalane w Berlinie, zaszkodzą materialnie żywiołowi polskiemu, ale podniżą wartość duchową Niemców. Pisma poznańskie nie tracą ani otuchy, ani humoru. „Ostatecznie nie mamy powodu się gniewać, że nowa powódź milionów znakomicie poprze dzieło demoralizacji i korupcji moralnej w szeregach Niemczyzny!”—mówi jedno z tych pism, a inne, donosząc o nowych funduszach na kolonizację, woła: „My przecież więcej wari: uchwalcie odrazu 15 miliardów!”

Największy objaw zapamiętałości teutońskiej niewątpliwie przyniesie dużo złego polakom, utrudni ich stanowisko w państwie pruskim, powstrzyma prawidłowy bieg życia społecznego. Ale ich nie wytępi.

## Feldfeble i polacy.

---

Kilka miesięcy prasa niemiecka zajmowała się tak zw. „sprawą Loehninga.“ Był to istotnie wypadek ciekawy w życiu publicznym Niemiec. Póki p. Loehning, prowincjonalny dyrektor cel i podatków w Poznańskim, był na urzędzie i milczał, nikt z ogółu nie wiedział, jakie nurty kryją się pod spokojną powierzchnią pruskiej biurokracji. Nagle ją zmałono. P. Loehning zmuszony był podać się do dymisji i wówczas przestał milczeć, ogłaszając obszerny memorjał o przyczynach, które zgotowały mu dymisję. Memorjał obiegł całą prasę i pokazało się jasno: 1) że p. Loehning

ożenił się z „córką feldfebla“ wbrew woli sfer urzędowych, oraz 2) że p. Loehning nie sprzyjał polityce hakatyzmu. Za „córką feldfebla“ ujęła się niemal cała prasa niemiecka, za hakatyzmem — sam kanclerz Rzeszy. Po dwumiesięcznym namyśle organ kanclerza, „Nord. Allg. Ztg.“ zamieścił nareszcie komunikat, wyświetlający stanowisko rządu w sprawie Loehninga. „Córka feldfebla“ zbyt mocno była broniona przez naród niemiecki, aby hr. Bülow przyznał się, że z jej powodu usunięto Loehninga. Hr. Bülow był zbyt rycerskim, aby to małżeństwo, aczkolwiek „niedobre“, mogło stanowić przyczynę dymisji wzorowego urzędnika. Hr. Bülow rozumiał, że serce p. Loehninga powinno być wolne od kontroli urzędowej. Ale czego rząd nie mógł p. Loehningowi puścić płuźem — to jego krytycznej oceny polityki antypolskiej. P. Loehning śmiał potępiać hakatyzm! Hr. Bülow zapałał gniewem.

„Nordd. Allg. Ztg.“ oświadczyła, że minister skarbu nie będzie wdawał się w wyjaśnienia prasowe co do sprawy Loehninga, bo to nie jest zwyczajem pruskiej administracji. Ale przyjdzie sejm, w sejmie zapewne rząd

będzie w tej sprawie zainterpelowany. „Wówczas—pisał organ kanclerza—minister skarbu dowiedzie, iż przyczyną dymisji Loehninga było jego działanie (*Handlung*) w polityce polskiej, wprost sprzeczne z intencjami rządu.“

Sprawa Loehninga była zatem jasna jak słońce. Wszystkiemu winna nie pani Loehning, z domu Coccius, lecz kwestja polska. P. Loehning, wyższy radca finansowy, pozwalał sobie na niesłychane rzeczy. Gdy jego urzędnicy chcieli odrzucić czyjeś podanie dla tego tylko, że je wniósł polak, p. Loehning im tego zabraniał. Gdy landrat żądał od p. Loehninga, aby polakowi urzędnikowi zabronił głosować podczas wyborów za polakiem — p. Loehning odpowiedział: „a konstytucja?“ I chociaż wcale polaków nie kochał, ale za to, że chciał, aby w germanizacji zachowano miarę legalną—wyleciał z posady.

A *przytem* śmiał ożenić się z córką feldfebla! Organ kanclerza dał do zrozumienia, że tylko „polonofilstwo“ zgubiło p. Loehninga, ale wszystkim teraz wiadomo, że go zgubiły w równej mierze małżeństwo z córką feldfe-

bla, jak i owa względna sprawiedliwość, okazywana przezeń polakom.

Urzędnik pruski winien odtąd pamiętać, że mu nie wolno żenić się z osobą „niższego“ stanu i nie wolno być sprawiedliwym dla polaków.

---

## Bismark poznański.

---

Staremu grodowi Przemysławowemu, sprawili hakatyści swoim kosztem brązowego Bismarka i ustawili na piedestale. Niemcy poznańscy, „narodowo usposobieni“, mówiąc technicznym stylem publicystyki hakatystycznej, czuli radość; niemcy „narodowo bierni“ ziewali, spozierając na nowego bożka brązowego: ludność polska patrzyła na zabawę niemiecką całkiem obojętnie, nie mieszając się do tej domowej pruskiej uroczystości. Rozpoczęła się ona w sobotę październikową z rana, pochodem, który szedł przez miasto nie bez hałasu i stanął przy pomniku, mając na czele ministrów: Rheinbabena i Hamersteina, naczelnego prezesa prowincji von Waldowa i dwóch her-

szków hakatyzmu: Kennemanna z Klenki i Tiedemanna z Jeziorek. Gdy nadjechał syn Bismarka Herbert z żoną i bratową, Tiedemann wygłosił mowę na temat, iż spełniło się „gorące życzenie Niemców poznańskich.“ Zastłona spadła i poznański Bismark, jeden z tych licznych i lapidarnych Bismarków, którzy dziś stawiani są na piedestałach po różnych miastach niemieckich—ukazał się zebrany. Miasto, w osobie burmistrza Wilmsa podziękowało i przyjęło nowego Bismarka w swoją „opiekę.“ Odśloniwszy żalaznego księcia, Niemcy poznańscy poszli w liczbie 500 na obiad i tu toastowali. Von Waldow pił za niemiecką ojczyznę, Tiedemann słał żyjących Bismarków, za co mu podziękował hr. Herbert, przyznając, iż noszone przezeń nazwisko Bismarka jest najpiękniejszym na świecie. Hr. Herbert nie odznaczał się, jak wiadomo, darem krasomówczym, to też i teraz zapytał zebranych niezbyt zgrabnie: „czemu istnieje Koło polskie?“ Słuchacze mieli zdziwione oblicza. „Niech posłowie polscy przestaną tworzyć osobne koło — rzekł syn wielkiego Bismarka—niech będą posłami niemieckimi, a wówczas uwierzmy im, że

nie zamierzają oderwać się od jednej niemieckiej ojczyzny.“

Nawet umiarkowany Willamowitz (dawniejszy naczelny prezydent Księstwa), nie wytrzymał podczas tej patriotycznej uczyty i zachęcał komisję kolonizacyjną do „dalszej pracy“ na chwałę Bismarka, jako jej założyciela. Minister Hammerstein zapewnił ucztujących, iż sprawa niemiecka na pruskim wschodzie jest kwestją życia dla całych Niemiec.

Po obiedzie odbył się wieczorny komers dla szerszych sfer niemieckich, na którym minister Rheinbaben oświadczył, iż rząd pruski zamierza kroczyć po obranej drodze aż do „skutecznego końca.“

O tym skutecznym końcu przypominać ma odtąd stale ludowi polskiemu ów spiżowy bożek na plantach poznańskich, ustawiony obok głównego wjazdu do miasta. Polska prasa poznańska obróciła jednakże całe to nabożeństwo bismarkowskie niemal w błahostkę, podając o odsłonieniu pomnika tylko drobne wzmianki w rubryce kroniki miejskiej, albo też i całkiem o niem przemilczając. Nie znaczy to, że ludność polska nie zwróciła uwagi

na pomnik. Owszem, widzi ona doskonale ten pomnik i wybornie zdaje sobie sprawę z jego znaczenia istotnego. Wolno każdemu narodowi czcić swoich wielkich ludzi - ale u siebie. Szowinizm zaś o tem zapomina i usiłuje koniecznie umieszczać pomniki historyczne wprost przed oczami tych, którzy od takich bohaterów doświadczyli jedynie krzywd. Skutek ztąd zazwyczaj jest taki, że ludność miejscowa jeszcze bardziej czuje swoje krzywdy i hartuje się w oporze narodowym. Taką właśnie rolę narzucili niemcy Bismarkowi poznańskiemu, który wielkopolanom przypominać będzie, że są i będą polakami aż „do końca.“

---

## Niezlomny kardynał.

---

Leży w trumnie starzec 80-letni i złożono go w grobach obcych, ale serce kazał odesłać do kraju. Był to zwierzchnik stowarzyszeń dla szerzenia wiary na kuli ziemskiej, kardynał obleczony w purpurę, drugi w kościele dostojnik po namiestniku Piotrowym, obleczonym w szaty białe. W żywej gwarze włoskiej tego kardynała słowiańskiego zwano „*papa rosso*“, papież czerwony. Mniemano nawet, że mógł zasiąść z czasem na Stolicy Apostolskiej. Imię jego szeroko rozeszło się po świecie katolickim i po świecie rodzimym polskim. Z tym katolickim słowianinem walczył potężny protestantyzm pruski, a nie zwyciężył. Kardynał

Ledóchowski był niezłomny, gdy walczył o prawdę i słuszość.

Uroczyście wstąpił 22 kwietnia 1866 roku na prymasowski ongi tron arcybiskupów gnieźnieńskich i poznańskich. Zaczął rządzić, a społeczeństwu wielkopolskiemu zdawało się, że źle rządzi, bo ze świeckim tronem pruskim jest w zgodzie. I miano mu nawet za złe, że w roku 1870 jako wysłaniec papieski przybył do Wersalu, aby z nowo kreowanym cesarzem Niemiec bismarkowskich paktować o przywrócenie dopiero co zniesionej władzy monarchszkiej Piusa IX nad Rzymem, po którą sięgnął zjednoczony naród włoski.

To było krajowi niemiłym, że jego arcy-pasterz duchowny szedł drogą ówczesnego lojalizmu. Ale ten książe kościoła nietylko był księciem kościoła. Przyszedł czas, że wraz z powierzonymi jego opiece interesami kościoła zagrożone zostały dobra duchowe kraju i jego język. Przyszedł ów sławny „*kulturkampf*“ 1873 roku, przyszły ustawy majowe przeciw kościołowi, germanizacja rozpoczęła walkę z polskością w wykładach religji. Rząd pruski zniósł polską naukę religji w dwóch

ostatnich klasach szkół średnich. Na to arcybiskup przystał. Żądano od niego dalszych ustępstw, ale tych ustępstw arcybiskup już nie uczynił. Niemcy trafili na spiż.

A gdy zatarg stał się jawnym, wytoczono arcybiskupowi szereg procesów, skazano na wysokie grzywny, odebrano uposażenie. Naczelny prezes prowincji, Günther, oświadczył mu, że winien ustąpić ze swego urzędu, ale Ledóchowski odparł, że tylko Stolica Apostolska może mu to nakazać. Opornego księcia kościoła skazano na dwuletnie więzienie. Pod presją rządu bismarkowskiego trybunał do spraw duchownych złożył uwięzionego z urzędu. Pius IX ani trybunału, ani złożenia nie uznał, lecz kazał doręczyć więźniowi kapelusz kardynański. Po odsiedzeniu pruskiej kary, nowy kardynał udał się do Rzymu, a po kilku latach, gdy walka kulturalna złagodniała, zrzekł się swojego arcybiskupstwa, aby zostać prefektem propagandy wiary i stanąć odtąd przy boku Leona XIII, łagodziciela sporów.

Wilhelm II, podczas odwiedzin Rzymu w r. 1895, zwyczajem monarszym, doręczył kardynałowi kosztowną tabakierkę i miał rzec:

„teraz wszystko zapomniane, nieprawdaż?“ Dawny więzień stanu zapewne chciał i mógł ocenić ten wielkoduszny postępek młodego cesarza: okryty purpurą kardynał kościoła katolickiego zapewne umiał wtedy pohamować ból swoich wspomnień, wiedząc iż kościołowi dane już są lepsze warunki bytu w Niemczech.

Ale arcybiskup wielkopolski? Zwłaszcza arcybiskup, który wiedział, iż w dawnych jego djecezjach nad Wartą, rząd pruski szerzy panowanie niemieczyzny, ruguje język ludu ze szkół, usuwa posiadzicieli gruntów z ich ziemi odwiecznej? Taki arcybiskup musiał to zachować w smutnej pamięci aż do końca dni. I czy mógł czuć inaczej, niż wszystkie warstwy wielkopolskie, które w 1895 roku uczciły złoty jubileusz jego kapłaństwa adresem i w nim wołały: „Ludność wielkopolska widziała w tobie nietylko wielkiego kapłana, ale i potomka sławnego rodu polskiego.“ I czy mógł czuć ten kapłan inaczej, gdy ta sama ludność polska zwała go sternikiem swoim?

W Poznaniu pamiętają jego słowa, powiedziane podczas intronizacji: „O jakże słodko

po długich latach znaleźć się znów wśród rodaków na ojczystej ziemi!“

Temu słowiańskiemu kardynałowi, rządzącemu sprawami Kościoła powszechnego i międzynarodowego, drogą była pamięć kraju. Tam więc serce kazał odesłać.

---

## Po interpelacji.

---

Bywają rzadkie dni w roku, kiedy niemiecki Reichstag zamienia się na „*Polentag*.“ Złączona „na zawsze“ z potężnem cesarstwem niemieckiem dzielnica poznańska, zajmuje uwagę wybranych prawodawców Germanji swojemi sprawami. Parlament słucha. Ministrowie z trybun swoich udzielają wyjaśnień. Posłowie polscy, w liczbie 13, stają wobec 400 posłów niemieckich. Z ław polskich podnosi się jeden mówca, drugi, trzeci. Z ław niemieckich powstają posłowie, którzy mają zwyczaj głośnego potwierdzania wszystkiego, co ministrowie rzekli. Podnoszą się tacy, którzy przemawiają o polakach nienawistnie. Wstają Niemcy, którzy o nas odzywają się przychylnie i na-

wołują ministrów, aby zaprzeczali występowni przeciw polskim poddanym. Padają słowa niechęci i słowa zgody. Stenografowie zapisują mowy, dzienniki je w lot pochwytują i rozchodzi się po świecie złe i dobre o nas. A potem parlament zapomina o polakach i sprawy w polskich prowincjach idą po dawnemu takim torem, na jaki je popycha twardy rząd pruski.

Owe „*Polentagi*“ mają tę dobrą stronę, że pozwalają polakom wypowiedzieć wobec Europy swe słuszne żale, a uczciwej opinii niemieckiej podnieść głos na naszą obronę. To nic, że większość parlamentu słucha tych żalów z obojętnym uśmiechem. Nie było jeszcze takiego parlamentu, w którym tak ogromna większość lubiłaby słuchać żalów tak małej mniejszości, zwłaszcza w czasach, gdy jedna narodowość tak niepohopną jest do bratania się z drugą. O wiele cenniejszem jest przeświadczenie, że poczucie sprawiedliwości nie zamiera nigdy nawet w tak obojętnych konglomeratach prawodawczych, jak sejm Rzeszy niemieckiej, że znajdują się tam ludzie, co słuchają skarg, choć ich przyczyny usunąć

nie mogą. Nadziei żywić wciąż niepodobna, ale czasem przynajmniej można czuć ulgę.

Dzień polski, który w parlamencie przypadł któregoś stycznia, przyniósł ulgę, a nawet otuchę. „Wy nas nie zdołacie zniemczyć“ — wołał poseł Dembowski do niemieckich konserwatystów i liberałów, tej wielkiej gwardji przybocznej całego ministerstwa pruskiego.

Dziembowski mówił silnie i umiejętnie; fakty, które przytaczał, mówiły jeszcze silniej. Parlament wyteżył uwagę. Rozległy się oklaski z ław katolickich, wolnomyślnych, zwłaszcza z ław socjalnych demokratów, bo ci radzi są zawsze, ilekroć osoby, siedzące przy stołach ministerjalnych, miewają kłopot z odpowiedziami na zarzuty. Istotnie ministrowie odpowiedzieli zbyt blado. Im się nie podoba, że sprawy poznańskie wywlekane są przed sąd całej Rzeszy; woleliby, żeby o nich po domowemu gadano tylko w sejmie pruskim, gdzie niema krzykliwych socjalistów, a przeciwnicy polityki rządowej nie mają tyle sił, co w parlamencie. Nie skończyło się jednak na skargach Dziembowskiego. Parlament wysłuchał jeszcze mowy sędziwego Ferdynanda Radzi-

wiła. Ten powiedział, że monarchja i rządy są z łaski Boskiej, ale też i prawa narodu są z łaski Bożej. Nie zawahał się nawet wspomnieć i o silnej pięści biurokracji pruskiej wobec dzieci polskich, łaknących swego języka. To wszystko musiało sprawić wrażenie nawet na konserwatystach i liberałach. Istotnie skutki systemu pruskiego są nadzwyczajne. Bartek-zwycięzca, który jeszcze tak niedawno z dumą chadzał w czapce wojskowej po wsi, dziś utopiłby chętnie kolonistę niemieckiego w studni, a sędziwy Radziwiłł, potomek hetmanów i kanclerzy, używa w parlamencie niemal takich wyrażań, jak Bebel, ów słynny herold przewrotu społecznego. A Roeren, który przybył polakom w sukurs z ław centralnych? „Wasza niemoralna polityka antypolska ośmiesza naród niemiecki w oczach świata”—zawołał do grup rządowych.

Taki „*Polentag*“ wiele pism poznańskich poczytywało za tryumf moralny polaków i za moralną rządu porażkę. Być może. Ale to tryumf na przeciąg jednego dnia. Kanclerz Bülow nie pokazał się tego dnia w parlamencie, aby nie słuchać skarg i zarzutów. Wie-

dział, że nazajutrz on sam będzie, jak był, wszechwładnym panem sytuacji w sprawach polskich, że miliony wciąż będą płynąć do skarbca komisji kolonizacyjnej, że urzędnicy będą coraz gorliwiej Wielkopolskę niemczyć za pobierane do pensji dodatki, że parlament rozjedzie się do domów, a rząd pozostanie w Berlinie i wszystkim pokieruje, jak zechce. Zwycięstwo moralne polaków w parlamencie przynosi więc skutki tylko moralne. Ale i to dobrze w czasach, gdy niema widoków na osłabienie żelaznej pięści germanizmu i pozostaje tylko nadzieja na przyszłość.

---

## Ustrój Królestwa w XIX wieku.

---

Okres ustawodawstwa w Królestwie Polskim, trwający od r. 1815 do r. 1881, stanowi niezmiernie interesującą epokę dla badacza prawa państwowego. Na przestrzeni tych kilkunastu lat kraj przeszedł przez tak nagle i zasadnicze zmiany prawodawcze i przybrał tak odmienną od poprzedniej postać administracyjną, że epoka ta może stanowić temat do odrębnego studjum. Właśnie takie studjum p. M. Reinckego ukazało się w urzędowym organie ministerjum sprawiedliwości i potem wyszło w oddzielnej odbitce, obejmującej historję ustawodawstwa w Królestwie od jego początków. Zdajemy z niego sprawę, pragnąc przytoczyć niektóre ze zwięzłych, lecz nader

charakterystycznych uwag, któremi autor opatrzył pojedyncze akty prawodawcze i za pomocą których wyjaśnia ogólne znaczenie całej tej epoki prawodawczej.

Streścimy jednak przedtem poglądy autora na poprzednie okresy ustawodawstwa w Królestwie z przed r. 1864. Pierwsze związki urzędzeń prawno-politycznych w Królestwie, przypadły, jak wiadomo, na lata 1807 – 1815, kiedy istniało Księstwo Warszawskie. Okres ten, podług autora, był ściśłem odbiciem naradzającego się organizmu państwowego, który nie mógł skutecznie bronić siebie od eksploatacji przez państwa bardziej silne i stał się terenem bezowocnych wysiłków, czynionych w celu wytworzenia dla kraju samodzielności życiowej. Dopiero w końcu tego okresu warunki złożyły się tak pomyślnie, że pod bokiem potężnego sąsiada północnego Księstwo osiągnęło znaczenie samoistnego organizmu państwowego i, po przekształceniu się na Królestwo, zdobyło sobie możność otwartego spełnienia swoich zadań narodowych i państwowych.

Pierwsze piętnastolecie Królestwa autor uważa jako epokę rozkwitu narodowej i państwowej idei Królestwa i nie bez słuszności twierdzi, że „pod opieką tronu“ to powszechne podniesienie ducha wyraziło się w pięknych aktach ustawodawczych, z których wiele przeszło następne katastrofy i w dalszym ciągu normuje cywilny byt ludności. Drugą połowę dziejów Królestwa konstytucyjnego autor określa jako epokę, w której „niczem nieskrępowany duch narodowy nie mógł pogodzić się z węższymi ramami swojej nowej państwowości i usiłował je rozszerzyć.“

Tem się tłumaczą wypadki 1831 roku i nadejście nowego okresu (1832—1864), który nadał prawodawstwu nowe odrębne piętno. Okres ten posiada wybitną cechę zbliżenia Królestwa do reszty państwa i coraz wyraźniejszego zastosowania do niego wymagań idei ogólnopaństwowej. Ale jednocześnie żył jeszcze duch państwowej odrębności Królestwa; ostatni jego wybuch po r. 1863 zakończył się— jak pisze autor — „zwycięstwem pierwiastku ogólnopaństwowego nad ideą odrębności prowincjonalnej.“

Doniosły okres, który nastąpił po r. 1864 i trwał do roku 1881, pragniemy tu omówić obszerniej, gdyż jest najbliższym naszych czasów i położył podwaliny dzisiejszego ustroju Królestwa. Niezmiernie przeto jest ciekawem, jak go charakteryzuje autor, znawca swego przedmiotu, dobrze rozumiejący ducha czasu. Otóż p. Reincke powiada, że okres ten jest wyrazem idei ogólnopañstwowej i jej stanowczego przeprowadzenia, z zachowaniem jednak „narodowej samoistności mieszkańców.“

Przyjrzyjmy się bliżej temu okresowi w oświeceniu autora. Rozpoczął się stanowczym wejściem na drogę gruntownych zmian bytu społecznego i organizacji urzędów państwowych, skończył się zaś zniesieniem ostatnich z tych instytucyj specjalnych, którym poleconą została ta działalność „reformacyjna“. Kompletna zmiana ustroju Królestwa wywołana była, podług zdania p. Reinckego, siłą rzeczy. Nie można było w żaden sposób zostawić tu resztek wolnych urzędów państwowości polskiej, która przy odpowiedniej sposobności mogłaby znowu odżyć i rozpocząć na nowo swe ostre zapasy z państwem rosyj-

skiem, opartem na idei niepodzielnego samowładztwa. Po roku 1864 trwały jeszcze w Królestwie odrębne urzędy administracyjne i odrębne sądownictwo, które wyraźnie odgraniczały ten kraj od reszty państwa. Urzędy te skazane przeto być musiały na usunięciu. Niemniej i dotychczasowe instytucje społeczne musiały ulegać zmianom lub przekształceniu, gdyż wśród ludności Królestwa brakło żywiołów, które, pobudzone własnym interesem, mogłyby się oprzeć warstwom, dążącym do przewrotów politycznych w imię „mystycznych marzeń dziejowych“ lub poprostu dla uzyskania przewagi społecznej, odpowiadającej ich pragnieniom.

Zakreślona w tak szerokich granicach działalność „reformacyjna“ była—jak mówi autor—olbrzymia; obejmowała bowiem całą organizację rządową, usuwała wszelkie tradycje i wchodziła w obszerny zakres interesów materialnych, słowem poruszała cały byt ludności krajowej, który miała popchnąć na „nowe“ tory. Taka doniosła reforma, jak objaśnia autor, nie mogła być wykonaną ani z pomocą starych organów władzy, ani przy pośrednic-

twie ludzi, nawykłych do dawnej rutyny, ani tem bardziej z udziałem instytucyj krajowych, przystosowanych do działalności normalnej. Wszystko to trzeba było znieść i przekształcić. Autor te reformy nazywa „bolesną operacją“, którą wykonać należało z pośpiechem i stanowczością w interesie sprawy oraz samego organizmu społecznego.

Do czynności „reformacyjnej“ powołano trzy główne tymczasowe instytucje: komitet urządzający w Królestwie (1864—1871), komitet do spraw Królestwa (1864—1881) i własną jego cesarskiej mości kancelarję do spraw Królestwa (1866—1876). One to opracowały i wykonały plan reorganizacji kraju.

Ostatecznym celem reorganizacji było utrwalenie w kraju państwowości rosyjskiej. Nasamprzód postanowiono wprowadzić do społeczeństwa miejscowego nowy czynnik, sprzyjający państwu, mianowicie włościan, ekonomicznie zabezpieczonych i niezależnych od tych żywiołów społecznych, które dostarczały dotąd głównego kontyngensu jawnych i ukrytych przeciwników państwowości rosyjskiej, t. j. szlachty i duchowieństwa. Jakkolwiek

twórca nowego ustroju włościan, M. A. Milutin, nie liczył na stałe przywiązanie tego nowego czynnika do zmienionego stanu rzeczy, to jednak w epoce „reform“ włościanie miejscowi przedstawiali silny punkt oparcia dla celów rządu. Dla tego też dano im, w drodze wyjątku, szeroki samorząd gminny włącznie z sądownictwem gminnym, podczas gdy inne warstwy społeczne musiały podlegać bardzo znacznym ograniczeniom samodzielności.

Przystąpiono potem do wprowadzenia języka państwowego do wszystkich instytucyj rządowych, przekształconych na wzór ogólnopaństwowych, przyczem dopuszczano tylko nader nieliczne wyjątki zachowania cech miejscowych. Zarazem utworzono komisję prawniczą, w celu przygotowania zmian sądownictwa krajowego w duchu ogólnopaństwowej ustawy sądowej z r. 1864, przy wprowadzeniu do niego również języka państwowego. To były zasadnicze niejako punkty „reformy.“

Zobaczmy teraz, jakie ważniejsze akty następowały po r. 1864. Najprzód ogłoszono zniesienie kierowniczych instytucyj krajowych, jak np. rady stanu Królestwa (1867), w kilka

dni potem komisji skarbu Królestwa, później nieco komisji oświecenia publicznego, wreszcie komisji spraw wewnętrznych (1868). Miejsce tych instytucyj zajął tymczasowy komitet rozrządzający, a następnie ogólnopństwowe ministerja.

Dalej nastąpiły zmiany natury społecznej z reformą włościańską w r. 1864 na czele i ukazami, dotyczącemi nadań gruntowych, ustroju gminy, sądów gminnych i t. d. Potem przyszła reorganizacja szkół. Reskrytem Najwyższym 1865 r. nakazano zreformować męskie i żeńskie szkoły średnie i utworzyć gimnazja i szkoły realne z wykładowym językiem polskim (historja, geografja i literatura rosyjska miały być wykładane po rosyjsku, nadto gimnazja dla ludności unickiej miały być całkiem rosyjskie), ale już w roku 1871 komitet do spraw Królestwa wprowadził do tych szkół całkowity wykład rosyjski w celach państwowego zjednoczenia, zarządzając jednocześnie obowiązkową naukę języka rosyjskiego w szkołach początkowych. W r. 1872 wprowadzono do kraju ogólnopństwową ustawę dla gimnazjów i szkół realnych; przedtem jeszcze, w r.

1869, Szkoła Główna została przekształcona na uniwersytet z rosyjskim językiem wykładowym.

Uregulowano także byt duchowieństwa w duchu państwowości rosyjskiej.

Ukazem z r. 1864 zamknięto w kraju klasztory katolickie z wyjątkiem niektórych, następnymi zaś ukazami majątek ich przelano do skarbu. W r. 1865 ogłoszono przepisy o nowym urządzeniu duchowieństwa katolickiego, które odtąd mogło pełnić nadawane przez biskupów urzędy jedynie za zezwoleniem władz rządowych. W r. 1866 zniesiono konkordat, zawarty ze Stolicą Apostolską jeszcze w r. 1847, a stosunki duchowieństwa z tą Stolicą nakazano odtąd załatwiać tylko za pośrednictwem ministerjum spraw wewnętrznych. W r. 1875 zniesiono odrębne wyznanie unickie, po poprzednim zastosowaniu szeregu zmian kościelno-prawodawczych.

Zmiany administracyjne i skarbowe rozpoczęto w r. 1866, gdy wprowadzono nową ustawę o zarządzie gubernjami i powiatami, których liczbę zdwojono; ustawę ich zbliżono, o ile możności, do ogólnopaństwowej; zapro-

wadzono straż ziemską. Rządy gubernjalne poddano wkrótce władzy ministerjum spraw wewnętrznych i Senatu. W r. 1869 wprowadzono rosyjskie Izby skarbowe; przedtem jeszcze, bo w r. 1866, zarząd poczt Królestwa i nowe instytucje obrachunkowe, wprowadzone w miejsce krajowych, przyłączono do ministerjów ogólnopństwowych; w roku 1867 zarząd komunikacyj Królestwa przyłączono również do ministerjum; w tym samym roku utworzono warszawski okręg naukowy. W r. 1871 zniesiono odrębny zarząd spraw duchownych Królestwa i oddano je ministerjum spraw wewnętrznych. Jednocześnie zniesiono kancelarję dyplomatyczną, istniejącą przy namiestnictwie; czynności jej objęli urzędnicy do szczególnych poruczeń. Wreszcie w r. 1875 zniesiono urząd namiestnika, przekształcony na urząd generał-gubernatora warszawskiego; był to ostatni akt, znoszący administracyjną odrębność Królestwa.

W sądownictwie, które najdłużej zachowało ustrój miejscowy, uczyniono zmianę w roku 1872 przez wprowadzenie języka rosyjskiego do warszawskich departamentów Se-

natu; w roku 1875 sądy Królestwa przyłączono do ministerjum sprawiedliwości, zaś w roku 1876 wprowadzono rosyjskie sądy ogólne. Autor studjum uważa ten akt za najbardziej doniosły, albowiem wobec nieuniknionej konieczności zetknięcia się z sądami, obejmującymi wszystkie osobiste, rodzinne i majątkowe interesy ludności, język rosyjski wpał świadomość „zwycięstwa państwowości rosyjskiej.“

Te najważniejsze akty prawodawcze odbyły się za panowania Aleksandra II.

Po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra III, zamknięty został tymczasowy komitet do spraw Królestwa, który stanowił ostatnią instytucję, powołaną do reformy ustroju Królestwa. Od r. 1881 powinno być Królestwo uważane jako dzielnica z ustrojem, zupełnie przystosowanym do wymagań państwowości rosyjskiej. Na tem autor zamyka swe studjum, nie uwzględniając wcale epoki po r. 1881 i jej cech urzędowych. Celem jego było omówienie tylko zasadniczych szczebli ostatecznej reorganizacji kraju, zakończonej w owym roku.

Pozwolimy tu sobie przytoczyć zdanie autora, wypowiedziane o roli języka w państwo-

wości rosyjskiej. P. Reincke zaznacza, że ustawodawcza reorganizacja Królestwa odbywała się „jednocześnie z rozpowszechnieniem języka rosyjskiego, jako ogólnopaństwowego, który nie ruguje języka miejscowego, lecz winien mieć równe prawa obywatelstwa; narodowość i religijne wierzenia ludności winny zostać nie naruszone, jako zupełnie zdolne do pogodzenia się z ideą państwowości rosyjskiej.“ Jeżeli w następstwie zdarzały się często uchYLENIA od tego punktu widzenia, to „nie wskutek zasadniczej zmiany poglądów wyższego rządu—jak komentuje autor—ale wskutek odstąpienia od tych poglądów miejscowych przedstawicieli władzy.“

Tak więc przez staranne zbadanie treści i ducha aktów prawodawczych, doszedł p. Reincke do wniosku, że dzisiejszy prawno-polityczny ustrój Królestwa wytworzony został jedynie w celu utrwalenia w kraju państwowości rosyjskiej i że cel ten jest od dwudziestu lat już osiągnięty. Język, wiara i miejscowe właściwości kulturalne nie tylko w okresie tej reorganizacji nie było przeznaczone do zniesienia, lecz w niektórych aktach prawo-

dawczych brane nawet „w opiekę“, jak o tem świadczy znany akt o szkolnictwie, mianowicie reskrypt najwyższy z d. 30 sierpnia 1864 r. w którym zaleca się, iżby „nie pozwalając czynić ze szkół narzędzi polityki“, władze szkolne miały na celu jedynie służenie nauce i iżby z tego względu „młodzieży polskiej dano możliwość uczenia się w jej języku przyrodzonym.“ Autor przytacza ten reskrypt w całości, przywiązując do niego znaczenie zasadnicze.

Studjum p. Reinkego jest poniekąd dowodem, że w tych ramach prawodawczych, jakie dano Królestwu, odpadła wprawdzie po roku 1881 wszelka możliwość powrotu do odrębnych instytucyj państwowych z przed r. 1864, ale pozostała możliwość wprowadzenia do kraju np. ogólnopństwowych instytucyj samorządu i przystosowania ich do miejscowych właściwości kulturalnych *bez* potrzeby rusyfikacji. Pod tym względem studjum p. Reinkego nie pozostawia dla nas prawnych wątpliwości i dla tego też zwróciliśmy na nie szczególną uwagę.

---

## Przypomniane idee.

Wysłuchać głosu już przebrzmiałego wtedy, gdy rozlegają się głosy tak nowe i tak ciekawe—to wydaje się trudnem czytelnikowi, pragnącemu trzymać rękę na pulsie życia. Ale gdy ten głos przebrzmiały jest pełen wielkiej rozwagi, gdy w swoim czasie tak roztropnie przewidywał zadania przyszłości, że mówił jak gdyby o chwili dzisiejszej—wysłuchać go warto, a nawet należy. Mówimy o ideach Rościława Fadiejewa, głośnego publicysty z przed lat trzydziestu. Fadiejew rozważał misję swego narodu i państwa w epoce, gdy brały już górę przeciwne idee Katkowa i całej plejady jego naśladowców, którzy nadal rosyjskiemu życiu społecznemu i państwowemu kierunek, panu-

jący w ciągu ostatnich dziesięcioleci i dziś dopiero topniejący w ogniu nowych prawd i nowych objawień. Z dzieł zbiorowych Fadiejewa, prawie nieznanego dzisiejszej Rosyi, a w Polsce wcale nieznanego, przeświecają myśli, które dziś zdają się znowu rozbłyskiwać w publicystyce rosyjskiej i znowu podlegają dyskusji.

Fadiejew nie był słowianofilem w rodzaju Aksakowa, lecz panslawistą w znaczeniu politycznym. Powyższy ustęp, stanowiący jego wyznanie wiary, znajduje się w pracy jego p. t. „*Mnicnje o wostocznom woprosie.*“

Przedewszystkiem kwestja wzajemnego stosunku kresów do centrum, dzielnic nabytych do rdzennej Rosji. Nie jest-że cenną dziś idea Fadiejewa, że ten stosunek winien opierać się na więzach kulturalno-społecznych, a nietylko administracyjnych?

„Nie jesteśmy wcale zwolennikami zrównania kresów z jądrem państwa za pomocą środków policyjnych, a nawet wszelkiego innego zrównania, oprócz politycznego—pisał Fadiejew w końcu lat 60-tych—wydaje się nam, iż należałoby wskrzesić ducha lokalnego raczej w składowych częściach Rosji właściwej.

Wobec rozległości państwa przyszłość nasza polega na różnorodności i pewnej samodzielności większych krajów. Rozwój języka rosyjskiego i uczuć rosyjskich ku wspólnej ojczyźnie na kresach uważamy za sprawę bardziej społeczną, niż rządową.“

Fadiejew miał wtedy na myśli głównie świeżą sprawę polską; bolał nad tem, że pomiędzy polakami a Rosją wytworzyła się niezgoda polityczna, i to w takiej chwili, gdy Austrja obrała wręcz przeciwną politykę nadawania polakom praw samorządu lokalnego i w ten sposób jednała ich sobie dla swej polityki wschodniej, wbrew polityce wschodniej, stanowiącej misję Rosji. Autor sądził, że dopóki sprawa wszechsłowiańska nie jest rozstrzygniętą, sprawa polska jest nieodłączna od wschodniej:

„W ręku wrogów jest ona ostrzem, które może być skierowanem w pierś naszą, zaledwie uczynimy ruch w duchu zadań rosyjskich, naprzykład wzniciemy kwestję wschodnią... Każdemu mężowi stanu austriackiemu i każdemu patryjocie węgierskiemu nasuwa się taki dylemat: albo Austrja opanuje sprawę

polską i zabezpieczy się przeciw groźnemu sąsiadowi, albo opanuje tę sprawę Rosja, i Polska stanie się nie murem, lecz mostem pomiędzy dwoma masami słowiańszczyzny — wschodnią a zachodnią. W sprawie polskiej Austria zapewne nie spotka poważnego oporu. Ona tak dobrze przytwierdziła do siebie swoje dzielnice polskie, że nie obawia się o nie, nawet gdyby miała obok siebie Polskę niepodległą...”

Podług przekonania Fadiejewa, zarządzane po r. 1863 przez Rosję zmiany i reformy agrarne w Królestwie nie zabezpieczyły spokojnej przyszłości. Zdaniem jego, po tych wszystkich zmianach kraj polski stał się bardziej niebezpiecznym w ręku wroga zewnętrznego, niż w r. 1812, gdy był nieczynny, oczekując zwycięstwa wielkiej armji... Fadiejew obawiał się Austrii:

„Każdy oddział galicyjsko-polski, wkraczający podczas najazdu w granice rosyjskie, niezwłocznie przekształci się na pułk, doskonale uzbrojony cudzym kosztem... Ruchawka (*sic*) z bronią szybko-strzelną oraz mocnym kadrem nie przekształci się naturalnie na wy-

borne wojsko, lecz nie będzie już wcale ruchawką r. 1863 i zmusi nas do rozrzucenia w kraju jeszcze większej ilości wojsk, niż podczas ostatniego powstania.“

Najbardziej mądre i sprawiedliwe środki w Królestwie, jak nadanie włościanom ziemi na własność, pod względem politycznym uważał za korzystne tylko do czasu, tylko dla pokolenia, które z nich skorzystało. Fądziejew przewidywał, że rychło już w tym kraju okaże się milion obywateli, zamiast dwustu tysięcy i to, prawdopodobnie, będzie jedyny rezultat uwłaszczenia. Można i należy wychować pokolenie polaków nie obcych dla Rosji — sądził Fądziejew — lecz zrusyfikować ich niepodobna.

Tyle autor mówił o wewnętrznych siłach narodu polskiego. A dalej, jak wszyscy słowianofile, widział niebezpieczeństwo dla polaków ze strony Niemiec. Naród polski ma, podług niego, jedną drogę do wyboru: „zostać bratem młodszym“ narodu rosyjskiego, albo stać się „prowincją niemiecką.“ I dlatego Fądziejew nie wierzył w możliwość istnienia osobnego organizmu państwowego w postaci odrębnej Polski.

„Jakikolwiek bądź stopień marzycielstwa przypiszemy polakom—pisał Fadiejew—niepodobna jednak, ażeby, wbrew logice, wielu z nich, zwłaszcza najrozumniejszych, nie widziało konieczności wyboru pomiędzy samodzielnością plemienną a zgubą. Teraz polak, jako człowiek o własnej kulturze, całkiem naturalnie kochający ją, znajduje się istotnie w położeniu bez wyjścia; można go powstrzymać od buntu, lecz niepodobna odwrócić odeń ustawicznej myśli o buncie. Zawiedziony przez Napoleona, pokłada w dalszym ciągu nadzieję w sejmie lwowskim, w baronie Beust (pisano w r. 1869), w Węgrzech, nawet w Prusach; dopóki człowiek żyje, powinien człowiek przecież mieć jakiegokolwiek nadzieję.“

Fadiejew chciał dobra Polski i wierzył, że przestanie ona roić o rozbiciu Rosji, gdy powstanie możność dążenia do „realnej“ Polski, bez konieczności „zdradzenia“ Rosji. O ile autor uważał za niemożliwe istnienie stronnictwa przychylnego Rosji wśród polaków przed powstaniem 1863 roku, o tyle widział tę możliwość w czasach późniejszych. Stworzyć takie stronnictwo — znaczyło to, podług niego,

sprawę polską „z rąk austriackich oddać do rosyjskich, zrzucić największe niebezpieczeństwo nasze na głowę wroga.“

Gdyby na taki głos rządu rosyjskiego, powołujący polaków do zajęcia uprawnionego miejsca w rodzinie słowiańskiej, nie odezwało się wkrótce silne stronnictwo, znaczyłoby to, że „wszystkie prawa logiki i możliwości wyróciły się na świecie.“ I Rosja także nie może podnieść sztandaru słowiańskiego, nie przyznając polakom należnego im miejsca w rodzinie słowiańskiej. Cztery miliony polaków rosyjskich i dwa miliony polaków austriackich (dziś te cyfry są dwa i pół raza większe), roznamiętnionych nienawiścią do Rosji, stanęłyby jak mur pomiędzy Rosją a słowiańszczyzną zachodnią.

„Z drugiej strony utrwalenie obecnego stanu rzeczy w Polsce, uznane za zasadę, przestraszy wszystką słowiańszczyznę, zniweczy do ostatka wszelkie zaufanie do nas. Słowianie, dotąd obawiający się nienasyconej ambicji rosyjskiej, będą uważali nasz głos braterski za zasadzkę. Bunt polski, możliwy przeciwko Rosji, byłby niemożliwy przeciwko związkowi,

uznającemu dobrowolnie zwierzchnictwo Rosji — związkowi, otaczającemu ziemię polską ze wszystkich stron. Dla mnie jest to jasne, jak dwa razy dwa—cztery; nie wiem, czy i dla innych także?“

Idee Fadiejewa z rosyjskiego punktu widzenia posiadają i dziś niewątpliwy interes. Ta sama kwestja, nad którą przed trzydziestu kilku laty pracował jego umysł—i dziś czeka na rozstrzygnięcie. Zasluga tego publicysty rosyjskiego polega na tem, że przestrzegał przed nienawiścią do polaków, oraz że wypowiedział wielką prawdę polityczną, którą sformułował w słowach: „Mieć lub nie mieć przeciwko sobie polaków—zależy to wyłącznie od nas samych.“

Te zdania Fadiejewa przytoczone są w artykule, poświęconym przeglądowi jego pracy literackiej, którym poprzedzony jest tom pierwszy *„Sobranja soczinienij R. A. Fadiejewa.“*

Fadiejew uważał wogóle za niemożliwe posunięcie naprzód sprawy słowiańskiej bez polaków. Bez Polski „przychylnej“ cały świat słowiański, zdaniem jego, skazany był na zastój.

## Józef Kenig.

---

Kto raz widział Keniga, nie mógł zapomnieć nigdy tej charakterystycznej postaci. Wysokiego wzrostu, o postawie często wyprostowanej, robił wrażenie wybitnego męża stanu. I był nim — na szpaltach pism. Twarz pełna wyrazu, o wysokim czole i szlachetnych rysach, oczy jasne i pełne żywego blasku, gęste siwe włosy i mleczna broda, nadawały mu niezwykłą powagę, a zarazem czyniły go pociągającym.

Wchodził do redakcji „Słowa“ zwykle pomiędzy 3-cią a 4-tą, przynosząc ze sobą swój majestat Nestora, swoją gestykulację równą i powolną, swój humor zawsze niezmienny i zawsze ujmujący. Przeglądał starannie stopy

dzienników: francuzkich, niemieckich i olbrzymie płachty pism angielskich, które zwłaszcza czytywał, gdyż one dawały mu największe materiały faktyczne do artykułów politycznych. I pomimo, że przychodził głównie dla pism, chętnie rozpoczynał dyskusje ze współpracownikami na tematy nie tylko polityczne, ale społeczne, literackie i artystyczne.

Ożywiał się i zapalał, a mówił zawsze obszernie, przytaczając dane, teksty, liczby, sięgając pamięcią do dawnych dzieł i wypadków i zarazem interesując się wszelkimi najświeższymi zdarzeniami. Można było go słuchać długo i uważnie, bo nie zamykał w sobie kapitałów wiedzy, lecz hojnie je rozdawał innym. Pamiętam, że raz mi powiedział: „uczciwy dziennikarz nie robi nigdy interesu.“ I on też nie zrobił interesu w dziennikarstwie, bo był przede wszystkim człowiekiem wiedzy i obywatelem kraju o wielkiem poczuciu dobra społecznego.

Ten starzec, chociaż zupełnie siwy, miał szczególny dar rozmawiania z młodymi, do których mówił: „uważasz, braciszku.“ Lubił, żeby go słuchali i co dziwniejsza, sam ich

chętnie słuchał. Ale ich dziwactw nie znosił. Przysłuchując się nowym prądom, nie pochwalał dekadentyzmu i dekadentom nadawał najostrzejsze przezwiska.

Można go było nazwać liberałem, chociaż należał do redakcji pisma konserwatywnego. Liberalizm jego sięgał jeszcze czasów Ludwika-Filipa, owej szczęśliwej epoki poważnego parlamentaryzmu i zdrowej burżuazji. Z tym liberalizmem, jasnym i niemal rycerskim, szedł przez cały swój zawód publicystyczny, lecz w nim nie zastygł, bo wchłaniał w siebie wszystko, co szlachetnego czuł i widział w życiu europejskiem. Lubował się zwłaszcza w parlamentaryzmie angielskim i chętnie przytaczał przemówienia mężów stanu i deputowanych angielskich. A przytaczał ściśle i nieraz tekstem angielskim posługiwał się dla dokładniejszego oddania treści. Pisał to, o czem wiedział gruntownie. Gdy żołnierze Mikada zdobywali Port-Arthur, gdy działa amerykańskie grzmiały pod Sant-Jago na Kubie, gdy grecy w Tessalji cofali się przed turkami, wymieniał liczbę nietylko pułków i żołnierzy, nietylko wymiary i ilość armat, lecz nawet

wydatki intendentury, a wszystko to czerpał z pierwszych źródeł. Nie był tym zwykłym typem referenta politycznego, typem tak dobrze znanym w Warszawie — był politykiem, który mógłby przynieść zaszczyt niejednej izbie posłów i niejednej konferencji dyplomatów.

Zeszedł do grobu w 79 roku życia, a z nim odeszła postać piękna i jasna, jednostka prawa, człowiek uzdolniony i dziennikarz najwybitniejszy w gronie warszawskim. Odszedł Nestor publicystyki polskiej.

---

## Walka narodowości.

---

Gdyby człowiek mógł widzieć przyszłość, to niewątpliwie ujrzałby wszystkie wyższe rasy, połączone we wspólnej federacji. Narody pojedyncze, czyli jednostki etniczne, stałyby się wówczas prosto grupami społecznymi, kierującymi się samoistnie we wszystkich sprawach własnych i przestrzegającymi interesów ogólnych tej federacji, a świat szedłby dalej po drodze postępu.

Tak sobie wyobraża przyszły ustrój ras ucywilizowanych uczony francuzki Letourneau, który zbadał szczegółowo rozwój życia społecznego u wszystkich ras, poczynając od ludów dzikich i kończąc na najwyższych rasach Europy. Socjolog i etnograf, drogą badań nau-

kowych doszedł do wniosku, do którego utopiści dochodzili zwykle ścieżką marzeń. I nie tylko socjologowie, ale i poważni znawcy prawa państwowego coraz częściej w tem sferowaniu ras wyższych upatrują naturalny szczebel do dalszego rozwoju cywilizacji.

A jednak surowe życie polityczne w dniach dzisiejszych przynosi nam wciąż objawy tak ostrych walk rasowych, że możnaby zupełnie zwątpić o ziszczeniu owej idei zgodnego współdziałania ras, którą uczeni i utopiści uważają za tak blizką i tak konieczną. Europa pełna jest sprzeczności, w których gubią się ludy, pozostające ze sobą na stopie wrogiego sąsiedztwa. Jeżeli pominiemy nieporozumienia czysto polityczne, współzawodnictwo militarne uzbrojonych narodów, jeżeli nawet zamilczymy o przeciwieństwach religijnych — tych trzech czynnikach, zdawna dzielących narody, to zostanie jeszcze wielka dziedzina sporów czysto rasowych, wciąż rodzących nienawiść i walkę. Wszystkim wiadomo, że te spory dziś zapełniają treść życia społecznego wielu krajów, że tamują postęp kultury i dobrobytu, że na-

wet sztuka i literatura zarażone są ich techniem, a prasa napojona ich jadem.

Z tych sporów, których odgłosy dochodzą nas najczęściej, wiele toczy się na granicach światów germańskiego i słowiańskiego. Czytamy i wiemy, że alzateczycy i duńczycy w Szlezwigu zachowują się opornie wobec Rzeszy niemieckiej, że reprezentacje miast irlandzkich nie chcą brać udziału w koronacji króla Wielkiej Brytanji, że nawet w Szwajcjarji świąty: romańki i teutoński dzielą się wyraźnie na dwa obozy plemienne—ale to wydaje się nam czemś dalekiem i łagodnem w porównaniu z walkami, które niemal codzień rozgrywają się w pobliżu nas, na zachodnich kresach Słowiańszczyzny.

Nad Wartą i Odrą toczy się bój pomiędzy pierwiastkiem niemieckim a żywiołem polskim. Nad Wełtawą wre zaciekły spór Czechów z pangermanistami. Z tamtej strony Karpat lud słowacki usilnie opiera się madjaryznowi; w Lublanie naród słoweński wyłamuje się z pod przewagi niemieckiej; nad Sawą i Drawą chorwaci stawiają czoło groźnej dla nich idei węgierskiej. A nie brak i sporów

wzajemnych między słowianami: serbsko-chorwackiego, bułgarsko-serbskiego i tylu innych!

W walce coraz częściej bierze udział państwo, które popiera silniejszych i nadaje tej walce swoje formy prawne. Jeżeli zapytamy nowoczesnych uczonych, czym jest państwo, usłyszymy definicję: jest to związek ludzi i grup, zjednoczonych przez wspólną władzę w celach ogólnego dobra. Ideałem państwa jest posiadać obywateli jednej tylko narodowości. Wiadomo zaś, iż treść narodowości tkwi w jedności języka. Ludzie wtedy lepiej siebie rozumieją i wyrabiają sobie wspólny ustrój umysłowości, a nawet jednaki odcienia pojęć. Ich język jest językiem. narodowości i zarazem językiem państwowym. Ale na nie-szczęście świat prawie nie zna przykładów państwa o jednej narodowości i jednym języku. Począwszy od cesarstwa rzymskiego, owego aglomeratu różnych ludów, a kończąc na dzisiejszej Austrii, świat najczęściej ogląda państwa o kilku językach. A jeżeli czasem jaka-kolwiek narodowość tworzyła państwo wyłącznie dla siebie, to zazwyczaj pewna część jej pozostawała w obcym posiadaniu. Włochy zje-

dnoczone dotąd pozbawione są własnego Tyrolu. Od najsłabszych aż do najpotężniejszych—wszystkie prawie narodowości wiedzą, czem jest przewaga obcego organizmu państwowego i obcego języka.

Niemiec gnębiący duńczyka, oburza się sam na ucisk madjarski w Siedmiogrodzie, francuz wie, że lotaryńczykowi z pod Metz panowanie niemieckie nie jest lekkim. Nawet polak, przytłoczony potęgą germanizmu, słyszy nie bez zdziwienia, że jest gnębicielem rusina halickiego. Czesi, którzy uczucia pobratymcze dla polaków objawiają tak często, oskarżani są przez nas o gnębiecie polaków we Fryszackiem, pod Cieszynem. Spory rasowe posiadają nadto kilka szczebli—od zatargów o jedną wieś, aż do prześladowania całych prowincyj i milionów ludzi, jak dzieje się w Wielkopolsce lub na Węgrzech. W Europie żadne państwo i żadna narodowość nie może sobie powiedzieć, iż nie jest choć w pewnej mierze gnębiciełką innych narodowości; żadna też narodowość, nawet mająca najpotężniejszy byt państwowy, nie może powiedzieć, iż jej częśćka zostaje pod przemcoą obcego państwa

i obcej narodowości, czyli „państwo — naród“ jest w Europie ideałem dotąd niedoścignionym.

Z tego łatwo wnieść, że kwestja stosunku państwa do narodowości pozostaje w najściślejszym związku z polityką międzynarodową. Jeżeli w jednym z państw jakaś narodowość jest gnębioną, w innym państwie odczuwa to narodowość pokrewna. Ucisk słowian macedońskich w Turcji stanowi zagadnienie polityczne nad Newą; upośledzenie języka niemieckiego w Transylwanji zwraca uwagę berlińczyków, kłopoty włochoń trjesteńskich stają się kłopotami rzymian; krzywdy poznańczyków wywołują ruch umysłowy w Galicji. Sprawa wrzesińska, z natury drobna i lokalna, wywołała echo w parlamencie austriackim i w sejmie lwowskim, pociągnęła za sobą nawet konferencje ambasadorów. Kto sądzi, iż skoro państwo posiada w swem łonie obcą narodowość, to kwestja stosunku do niej jest kwestją czysto wewnętrzną—ten się łudzi. Zwłaszcza to jest złudzeniem, gdy ta narodowość jest pokrewną narodowościom w innych państwach. Tylko bardzo silne państwo może wtedy bez-

karnie twierdzić, iż sprawa narodowości jest jego kwestją wewnętrzną.

Stosunek państwa do jego poddanych obcej narodowości jest rzeczą niezmiernie ważną dla jego własnego bytu i stanowić powinien przedmiot najstaranniejszej polityki wewnętrznej. Czasy, gdy absolutna wola rządowa ignorowała głosy narodowości, już minęły. Wiemy, że Austria metternichowska nie знаła żadnych kwestyj narodowościowych w swem łonie: gdy ktoś domagał się wówczas praw dla swego języka, robiono z tego zdradę stanu, ale nie kwestję językową. Austria współczesna poszła drogą nowożytną: narodowości zyskały w niej prawo głosu i mowy jej ludów zdobyły sobie prawo języków krajowych, a poniekąd i państwowych i ciągle rozszerzają sferę swego wpływu. W Niemczech natomiast polityka narodowościowa poszła drogą przemocy i języki obce utraciły wszelkie prawa krajowe i państwowe. Język polski w obrębie Niemiec usuwany jest dziś nawet z adresów pocztowych, a narodowość polska ze wszystkich, nawet najniższych urzędów państwowych. Sprzeczności są niekiedy rażące. Polityka an-

typolska w Niemczech powołuje się na dobro niemieckiego państwa, tuż obok, w Galicji, austriacka polityka narodowościowa w żywole polskim widzi opokę niemieckiego tronu Habsburgów. Nad Odrą polakowi nie wolno być posługaczem kolejowym, w Wiedniu jest on doradcą korony. W tych sprzecznościach odbija się cała nedorzecznosc wszelkiej prześladowczej polityki narodowościowej, a tych sprzeczności jest mnóstwo.

Słusznie ktoś powiedział, że Europa na drodze cywilizacji powstrzymaną została przez dzisiejsze Niemcy: one to bowiem dały największy wyraz nietolerancji rasowej. Osłabienie potęgi współczesnych Niemiec byłoby zbawiennem dla całego świata i dla samych Niemców, których wysokie zalety duchowe ucierpiały wskutek przewagi politycznej.

W atmosferze polityki tępieją umysły i obyczaje dziczeją. Nie dziwimy się, że narodowości polskiej w tej atmosferze przypadło w udziale doznać najdotkliwszych szykan. Pośrednio niemcy wpływają i na atmosferę austriacką, która bez tego wpływu byłaby czystsza i dla ludów zbawienniejsza.

Narodowość w Europie jest więc jeszcze synonimem walki rasowej. Może dla tego, że narodowości dążą z natury rzeczy do wywalczenia sobie najlepszych warunków bytu. W drugiej połowie ubiegłego wieku równowagę Europy naruszyły narodowe walki, które się zakończyły zjednoczeniem Włoch i zjednoczeniem Niemiec. Może być, że słowianie czekają na swego Cavour'a lub swego Bismarka, a Niemcy zawczasu opancerzają dłoń obroną w przeczuciu boju. Cokolwiek bądź, Europa, zwłaszcza środkowa, przechodzi ostry okres antagonizmu ras większych i mniejszych, bo narodowości szukają dla siebie ujścia i granic.

Jeżeli przypomnimy sobie, że obecne stosunki graniczne między światem germańskim a słowianami opierają się wciąż jeszcze na kongresie wiedeńskim z r. 1815, kiedy narodowości dzielono między państwa przypadkowo, podług terytorjów i ilości dusz, to stanie się dla nas zrozumiałem owe ustawiczne napięcie stosunków rasowych, które wszyscy odczuwają na przestrzeniach między Szlezwikiem a morzem Egejskiem. To pas niespodzianek i fermentu rasowego. Gdzie plemiona są tak ze sobą po-

mieszane, jak na tych przestrzeniach, tam podział ich jest bardzo trudny. Terytorja jednego ludu wrzynają się w terytorja innego: niewiadomo dokładnie, gdzie się kończy przewaga i wpływ jednego języka, a zaczyna przewaga drugiego. Narodowość przeważająca chce sobie przywłaszczyć dziedzinę słabszej, język mocniejszy usiłuje zapanować nad mniej silnym. Letourneau utrzymuje, że Europa dzisiejsza, której prawodawstwo wzoruje się na bezdusznych formach dawnego prawa rzymskiego, nie umie rozstrzygać sporów pomiędzy ludźmi inaczej, jak za pomocą szeregu suchych ustaw, mających regulować stosunki obustronne, lecz dalekich od istotnego pulsu życia. Ta paradoksalna uwaga uczonego francuza może być zastosowana i do sporów rasowych i narodowościowych. Te niedosze ugody językowe, których widownią jest Austrja, i te bezskuteczne, paragrafy antypolskie, których rodzielką jest myśl niemiecka—stanowią dowód, że polityka narodowościowa winna rządzić się żywą sprawiedliwością, a nie ślełą siłą lub martwą formułą gabinetową.

Jeżeli nie każda narodowość posiada możność i prawo do samoistności państwowej, to za to każda ma prawo samodzielnego życia kulturalnego w najszerszym zakresie, każda dąży do rozwoju swoich cech duchowych i powstrzymywanie jej w tych dążeniach jest pomyłką dziejową. Wszelka walka ustępuje miejsca prawu, walka rasowa ustąpi miejsca sprawiedliwości. Każda narodowość uzyska z czasem opiekę państwa, przestanie być zamkniętym w sobie wrogim obozem, owszem, stanie się jedną ze współdziałających grup społecznych tej przyszłej federacji, o której nam mówią utopiści i uczeni.

Ale dziś jesteście jeszcze w okresie walk rasowych. Narodowości pojedyncze szukają sobie przyjaciół i stawiają opór swoim wrogom. Jeżeli dziś można marzyć o sprawiedliwości polityki narodowosciowej w łonie potężnych organizmów państwowych, to chyba tylko względnej: narodowości winny pokładać większe nadzieje w sobie samych, niż w wyrozumiałości innych. Narodowości winny uczyć się polityki, jak się jej uczą rządy.

---

## Głosowanie polityczne.

---

W wyszłej niedawno książce „*Le suffrage politique chez les principaux peuples civilisés*“, napisanej przez H. Pascauda, zawiera się dokładna charakterystyka obecnych systemów wyborczych, obowiązujących w różnych państwach Europy i Ameryki. Systemy te autor podzielił na trzy wielkie grupy: 1) głosowanie ograniczone, bezpośrednio oparte na cenzusie, 2) głosowanie pośrednie z cenzusem, lub bez tegoż i 3) głosowanie powszechne, bezpośrednio.

Kolebką głosowania ograniczonego, opartego na cenzusie, jest Anglja. W tym kraju rozwijało się ono od wieków, drogą powolną, lecz pewną, tak, iż anglicy mniemają o swych

prawach, że są one niejako koniecznym wynikiem natury rzeczy. Ostatnim ogniskiem w tym łańcuchu praw była ustawa z d. 6-go grudnia 1884 r., przeprowadzona przez Gladstone'a, whigów i radykalistów. Zwiększyła ona liczbę wyborców z 3 do 5 milionów, zrównała w prawach wyborczych miasta i hrabstwa i zniósła historyczne różnice zjednoczonego królestwa, to jest Anglii, Szkocji i Irlandji, zostawiając otwartą drogę do stopniowego zaprowadzenia głosowania powszechnego.

Z liczby kolonij angielskich, Kanada ma najwięcej rozwinięty system głosowania, ustanowiony aktami parlamentu brytańskiego z lat 1867, 1872 i 1885. Wyborca winien mieć 21 lat, być poddanym brytańskim i zamieszkiwać w miejscu przez pewien czas. Cenzus wyborczy oparty jest na posiadaniu własności ziemskiej lub nieruchomości w cenie najmniej 150—300 dolarów, stosownie do miejsca zamieszkania; głosowanie jest tajne i odbywa się za pomocą kartek.

Szwecja niegdyś zaborcza i potężna, dziś starannie pielęgnuje swe prawa konstytucyjne. Cenzus wyborczy opiera się w niej na prawie

własności; głosujący winien mieć nieruchomości w cenie najmniej 1000 koron (1430 franków), albo też od lat pięciu posiadać grunt rolny, wartujący 6000 koron, albo wreszcie opłacać państwu podatek od dochodu rocznego, sięgającego najmniej 300 koron.

W Holandji cenzus ogranicza się do 20 guldenów podatku rocznego; w królestwie saskiem, posiadającym konstytucję od r. 1831, cenzus majątkowy zniża się do jednego talara podatku bezpośredniego; ten, który może być wybranym, winien opłacać najmniej 10 talarów podatku.

W Austrii zasadą cenzusu wyborczego jest reprezentacja interesów interesowych klasowych; wybierają swych przedstawicieli: własność większa, miasta, izby handlowe, własność ziemską mniejsza (obecnie i klasa robotnicza). Własność większa winna opłacać przeciętnie około 100 guldenów podatku, waha się pomiędzy 50 a 250. Głosowanie jest bezpośrednie i tajne, podobnie jak w kurji miast, natomiast gminy wiejskie mają system głosowania pośredni, przyczem wyborcą może być każdy, opłacający najmniej 5 guldenów rocz-

nego podatku. Ustawodawstwo wyborcze Austrii nazywa autor mozaiką wyborczą, ułożoną z kilku systemów, wyrobionych przez warunki historyczne.

Na Węgrzech wyborcą jest każdy właściciel domu w mieście lub właściciel gruntu rolnego, opłacający 16 guldenów podatku; w Siedmiogrodzie cenzus oblicza się stosownie do dochodu rocznego od domów, gruntów rolnych i zakładów przemysłowych.

Wymieniając sejmy austriackie, autor mówi o jakimś oddzielnym sejmie dla W. Ks. Krakowskiego, oraz innym dla królestwa Galicji i Lodomerji, co złożyć trzeba na karb owej przysłowiowej geografji francuzów.

Tenże sam system głosowania bezpośredniego, ograniczonego przez cenzus majątkowy, posiadają kraje romańskie, jak Belgja, Portugalja, Włochy, Rumunja, oraz niektóre republiki łacińskie w Ameryce, jak Boliwja, Kolumbja, Ekwator, Gwatemala. Wszystkie te państwa prawo wyborcze stawiają w zależności od stanu majątkowego, uważają bowiem taki cenzus za najlepszą rękojmię zdolności wyborczej. Mimo to, udzielają one pewnym

sferom znacznych przywilejów z powodu ich wykształcenia, profesji i w ogóle zajęć zapewniających należyte pełnienie obowiązków wyborczych; w ten sposób wymagania prawa dają się pogodzić z warunkami życia rzeczywistego.

Niektóre z tych krajów posiadają ustawy, wprost żądające od wyborców umiejętności czytania lub pisania, albo ukończenia szkoły elementarnej; jest to zarodek cenzusu intelektualnego; Boliwja, Ekwator i Gwatemala wprowadzają w grę nawet stronę moralną, oddając pierwszeństwo osobom żonatym. W Boliwji np. człowiek nie żonaty uzyskuje prawo głosu wyborczego z dojściem do 22 roku życia, a żonaty już w 19-tym roku życia.

Cenzus wyborczy w Belgji opiera się na fakcie płacenia najmniej 42 franków i 32 centymów podatku bezpośredniego (prawo roku 1848); żeby zostać senatorem, należy płacić takiegoż podatku 1000 florenów; w Portugalji płacić należy 1 milrejs podatku, aby zostać wyborcą; we Włoszech ten census wynosi 19 franków i 80 centymów, w Rumunji należy

mieć 800 do 900 franków rocznego dochodu i t. d.

Do rzędu krajów z cenzusem początkowym należy zaliczyć także Japonję, gdzie wyborca płaci najmniej 15 jenów podatku rocznego.

Drugą wielką grupę systemów wyborczych stanowią systemy głosowania pośredniego, t. j. gdy wyborcy są wybierani przez prawyborców. W Prusach każdy, który osiągnął lat 20, może być prawyborcą bez względu na cenzus majątkowy, lecz głosowanie odbywa się według trzech grup, na które głosujący są podzieleni, stosownie do wysokości płaconych podatków, przyczem do ostatniej należą i ci, którzy nie nie płacą. Wyborcy, jak również prawyborcy, żadnemu cenzusowi nie podlegają. W Bawarji istnieją podobnie wybory pośrednie, przyczem wyborcy powinni składać przysięgę konstytucyjną. Norwegja, różniąc się od Szwecji ze wszystkim, posiada także odrębny system wyborców pośrednich do sejmu, czyli stortingu.

Głosowanie powszechne, bezpośrednie, stanowiące marzenie wielu umysłów doktryner-

skich, nie jest bynajmniej, według autora, jakimś prawem naturalnem, lecz raczej ustępstwem, uczynionem przez prawo pozytywne. Z rozwojem cywilizacji idea głosowania powszechnego staje się coraz potężniejszą: wszystkie kraje z głosowaniem ograniczonym zbliżają się, podług Pascauda, coraz bardziej do tego systemu. Dziś głosowanie powszechne istnieje już w Niemczech, gdzie w ten sposób obierają posłów do sejmu rzeszy, oraz w Danji, gdzie ich obierają do folketingu.

Oprócz Francji, Hiszpanji i Szwajcarji powszechne wybory bezpośrednio odbywają się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, Brazylii, Argentynie i Chili. W Stanach Zjednoczonych udział w wyborach biorą nawet cudzoziemcy, którzy objawili chęć pozostania obywatelami kraju. Te kraje, posiadające prawo głosowania powszechnego, stanowią trzecią grupę w książce Pascauda, którego sympatje przechylają się na ich stronę. Dzieje głosowania powszechnego w tych krajach, zwłaszcza w ojczyściej Francji, autor opowiada bardzo szczegółowo. Co prawda, są to suche wyliczenia danych, nie powiązanych

przez autora głębszą myślą przewodnią, ale wykazują one dość przekonująco, że w krajach ucywilizowanych istotnie odbywa się ruch społeczny, przyciągający coraz większą liczbę obywateli do urn wyborczych.

Warto zaznaczyć jeszcze jeden pogląd autora: mianowicie, że brak instytucji głosowania politycznego nie stoi na zawadzie utrwaleniu się zasadniczych praw ludzkich, zawsze szanowanych. Jako przykład, wskazuje Pascaud starożytne monarchje, oraz dzisiejsze państwa azjatyckie. Głosowanie polityczne jest jednak dowodem postępu społecznego i dojrzałości narodów. W dzisiejszych czasach, gdy idea parlamentaryzmu traci wśród wielu umysłów swoją dawną aureolę, a u nas Br. Łoziński w dziele „*Ignorantia juris*“ poddaje surowej krytyce europejskie urządzenia parlamentarne (idąc zresztą za prawnikami niemieckimi), książka Pascauda, zawierająca wykład prawie wszystkich systemów wyborczych w świecie cywilizowanym, może posłużyć za ciekawy materiał do obrony parlamentów.

---

## Kryminały polityczne.

---

W zaraniu wieku XX, gdy korupcja społeczeństwa europejskiego doszła niemal do szczytu, gdy politycy staczają się coraz głębiej w przepaść stronnicych walk i czczych debatów, gdy wreszcie szaleńcy z proletariatu umysłowego w rodzaju anarchistów francuzkich, rzucają się na przedstawicieli rządów i usiłują bombami zgruchotać nawet świątynie — warto usłyszeć, co mówią ludzie sprawiedliwi i rozsądni, którzy rozumieją dobrze stan rzeczy i jasno widzą drogę, wiodącą do uzdrowienia społecznego ducha. Do takich właśnie należy Ludwik Proal, autor książki „*La criminalité politique*“ („Przestępczość polityczna“), w której rzuca potężne światło na

spaczenia polityki. Proal był członkiem trybunału apelacyjnego w Aix i twórcą uwięzionego przez Akademię nauk moralnych i politycznych dzieła p. t. „*Le crime et la Peine*“ („Przestępstwo i kara“), w którym wystąpił przeciwko zbyt luźnym teorjom C. Lombroso o fizjologicznem pochodzeniu przestępstwa. Na stanowisku sędziego Proal miał do czynienia z licznymi okazami anarchistów i dlatego książka jego o przestępstwach politycznych nie jest suchym traktatem; przeciwnie, rzecz to pełna żywej a płodnej idei szlachetnego oburzenia i niekiedy piołunowej goryczy, zwłaszcza, gdy autor zwraca się ku przeszłości i rozwija obraz przestępstw wielkiej rewolucji. Potępia anarchję z dołu, jak i z góry.

Już we wstępie powiada Proal, że kwestja polityczna, podobnie jak kwestja socjalna, jest przedewszystkiem kwestją moralną. Prawdziwym celem polityki jest czynić ludzi doskonałymi pod względem moralnym, a polityka tem większą posiada odpowiedzialność, że wpływa na masy. Niema większego złooczyńcy nad przestępcę politycznego, bo on dla swej żądzy gubi całe społeczeństwa i zatruwa

życie całych pokoleń. Podobnież i partje, rządzące krajem nieuczciwie, wpychają go na długie lata w mętłą otchłań niedoli i, co gorzej, wypaczają pojęcia obowiązku społecznego. Mężowie stanu powinni być wzorem cnót moralnych: tymczasem ludzie, upojeni władzą, uświęcają nieraz największe gwałty, gwoli zadość uczynieniu swoim instynktom. Nie darmo też Napoleon I powiedział o sobie na łożu śmierci: „Władza odurza ludzi.“ Wszystko nieraz poświęca się dla smutnych zasad, w rodzaju „siła przed prawem“, albo „dobro ludu jest prawem najwyższem“ i niema chyba wykroczenia, którego nie usprawiedliwiłaby t. zw. „racja stanu“ (*raison d'état*). Istnieje jakby podwójna moralność polityki i życia prywatnego, tak iż ludzie w życiu codziennem postępując dobrze, zupełnie przeciwnie postępują w polityce. Rzymianie starożytni i współcześni anglicy, w których poczucie sprawiedliwości w życiu prywatnem jest tak wielkie, nie wahałi się jednak dla „dobra“ państwa używać środków niesprawiedliwych; Machiawel zaś onego czasu wprost zalecał posłom, ażeby dbali

o swoją sławę ludzi uczciwych, gdyż w ten sposób lepiej potrafią oszukać przeciwnika.

Autor książki zalicza do dziedziny kryminalistyki politycznej wszelkie objawy moralnych spaczeń na tle społeczno-politycznym, oraz wszystkie zbrodnie, popełniane w celach politycznych. Rzecz prosta, że go zajmują w pierwszym rzędzie objawy anarchizmu; dzieło swe Proal pisał w czasie największego napięcia opinii publicznej we Francji, poruszonej ustawicznymi zamachami anarchistów. Ze stanowiska moralności anarchizm jest ostatnim wyrazem zdziwienia i Proal nie widzi w nim najmniejszej racji, jaką mu chcą przypisywać krytycy społecznego ustroju w Europie. Zanim jednak przejść do moralnej analizy anarchizmu, Proal czyni rzut oka na najdawniejszy w historii świata objaw przestępczości politycznej, mianowicie na t. zw. królobójstwo, popełniane dla dobra ludu lub kościoła, zwraca uwagę na całą jego ohydność. A były jednak czasy, gdy zabójcy monarchów przygotowywali się do swoich czynów praktykami religijnymi, jak np. słynny Clement, który uśmiercił Henryka III.

Anarchizm—to zjawisko nowożytne, lecz w zasadzie swojej równie stare, jak polityka. Dawniej zabijano królów, teraz mordują prezydentów polityki i nawet poprostu ludzi, należących do burżuazji. Ręką anarchistów kieruje ta sama obłudna i nieuchwytna maksyma: „dobro ludu.“ Ponieważ władza przeszła teraz do zgromadzeń prawodawczych, anarchiści rzucają bomby w parlamentach; ponieważ rząd, według ich zdania, jest wybrany i broniony przez klasy posiadające, przeto rzucają oni bomby wszędzie, gdzie przedstawiciele tej klasy znajdują się w większej liczbie: w teatrze, w sądzie, w kawiarni, nawet w kościele. „Dobro ludu“ omamia ich i popycha do strasznych wybryków i mordów masowych. Już Danton za czasów wielkiej rewolucji wygłosił sofizmat, że „dobro ludu wymaga wielkich środków i straszliwych czynów.“ Anarchiści wyrażają tę samą myśl w słowach: „społeczeństwo jest chore; aby je uzdrowić, trzeba wyrznąć burżuazję, ponieważ ona to przeszkadza ludowi być szczęśliwym.“ Zbliżeni do jakobinów z r. 1793 w swych teorjach politycznych, anarchiści różnią się jednak od nich

w poglądach na własność i rząd: jakobini usiłowali je utrzymać, anarchiści pragną zburzyć.

Już podczas wielkiej rewolucji wystąpili na scenę ludzie, nazywający własność — kradzieżą, zaś bogatych — złodziejami. Pisma wolnomyślnych filozofów wieku zeszłego (Mably, Diderot, Rousseau) przygotowały grunt pod zasiew tych pojęć o własności. Dzisiaj one wzbijały i taki np. Elizeusz Reclus pisze bez ogródek: „Należy zapewnić wszystkim całkowite zadowolenie potrzeb i używanie życia.“ Z podobnych poglądów wylęga się wniosek, że bogaci wrzekomo są przyczyną istnienia ubóstwa, zaś religja winna jest, że nie pozwala na szalone panowanie namiętności i żądz. Nic zatem dziwnego, że Proudhon, ów „nieśmiertelny ojciec anarchizmu“, jak go nazywa słynny Krapotkin, wygłaszając maksymę: „własność jest kradzieżą“, dodaje natychmiast: „zaś katolicyzm — to wróg.“ Gdy więc własność uznana została przez anarchistów za kradzież, sama kradzież w oczach ich nabrała godności restytucji (przywrócenia prawa). Proal w praktyce sądowej miał do czynienia z oskarżonym

o ciężkie kradzieże anarchiŝtą, który mu powiedział: „nie jestem złodziejem, ale przywrócićielem prawa“ (*restitutionnaire*). Bogaci byli i są przedmiotem nienawiŝci, poniewaŝ na nich można uprawiać wszelkie restytucje. Podczas wielkiej rewolucji francuzkiej arystokraci i duchowieństwo ulegali strasznemu prześladowaniu nie tylko za to, ŝe byli przedtem panami, lecz i za to, ŝe byli bogaci; biała i delikatna skóra rąk była wówczas dostatecznym powodem do skazania kogoś na śmierć. Rewolucje wogóle odznaczają się gwałtowną żądzą zniwelowania wszystkiego do jednego poziomu; niwelują zaś dla tego, aby dać folgę pospolitej zawiŝci. Armja więc, która wyróżnia się z ogólu ludności uprzywilejowaniem połoŝeniem i karnoŝcią, stanowi szczególny przedmiot zabiegów partyj anarchiŝtycznych w czasach obecnych. Broszury przeciwko wojŝku ciagle się mnoŝą, ŝołnierze nawoływani są do nieposлуŝeństwa władzom i do „zbratania się“ z ludem.

Podobnie, jak niektórzy wybijali pisarze propagowali z przesadnemi skargami zniesienie małŝeństwa, państwa i stosunków towa-

rzyskich dla „szczęścia“ ludzkości, tak też i anarchiści usprawiedliwiają dziś wszelkie przestępstwo, bunt i przewrót „szczęściem“ ludzkości; oni to wymyślili sofizmat, jakoby człowiek pojedynczy mógł i miał prawo zastąpić państwo, aby pomścić krzywdy lub zapobiedz niesprawiedliwościom. Zepsucie obyczajów i pojęć w znacznej mierze obciąża sumienie wielu lekkomyślnych romansopisarzy i dramaturgów, którzy proponowali uzupełnić „prawa mężczyzny i kobiety“ prawem „miłości i cudzołóstwa.“ Poeci uporzeczywie domagają się od społeczeństwa „prawa alimentów.“ Filozofja materialistyczna chce „prawa szczęścia i używania“, socjaliści wytoczyli „prawo pracy“, rewolucjoniści „prawo wywrotu.“ Wszystkie te „prawa“ wieńczy wynalezione przez anarchistów prawo: „kradzieży i mordu.“ Podobnie jak autorowie dramatyczni bohaterom swoim dla zaspokojenia ich namiętności nadali prawo „witryoleju i pistoletu“, tak też anarchiści proklamowali prawo „dynamitu.“ Wprawdzie niektórzy anarchiści wykazują w obec gilotyny spokój właściwy fanatykom, lecz ogromna ich większość głosząc „prawo mordu“,

sama jak najstaranniej unika śmierci, usiłując spiesznie uciec po dokonany zamach.

Historycy usprawiedliwiają wielkie polityczne mordy racją stanu, nauki przyrodnicze, materialne — walką o byt. To są dwie najstraszliwsze pomyłki, jakich się umysł ludzki w stosunku do społeczeństwa dopuszcza; sprowadzają one oplakane następstwa. Podziwianie mordów rewolucyjnych *en bloc* jest grzechem społecznym nie do darowania, historycy jednak grzeszą i pod tym względem. Należałoby przede wszystkim wniknąć w pobudki moralne tych mordów, a wtedy zamiast podziwu, zostałoby przerażenie.

Przestępcy polityczni obecnych czasów, w rodzaju Ravachola i Vaillanta, byli ludźmi nawskróś zepsutymi moralnie; temu spaceniu duchowemu odpowiadało najzupełniej ich wykształcenie umysłowe, oparte wyłącznie na sofizmatach materializmu. Wprawdzie nie wszyscy ateusze i materialści są anarchistami, lecz za to wszyscy anarchiści są ateuszami i materialistami, powiada Proal. Vaillant znał wprost, iż idee swe zaczerpnął z dzieł Büchnera i teoretyków ewolucjonizmu. Nic

w tem dziwnego, bo doktryna materjalistyczna, zarzucona już dzisiaj w nauce, wciąż jeszcze wsiąka w umysł ludu za pomocą broszur agitacyjnych, dzienników, zgromadzeń i tajnych wydawnictw. Ravachol dowodził, że czyn jego był „koniecznością życia“ i że zabójstwa swe popełniał dla zadośćuczynienia potrzebom osobistym; winnem jest społeczeństwo, które nie pozwoliło mu zostać szczęśliwym i bogatym. Wszyscy wykolejeni, niedołężni, ambitni, którym się nie powiodło, oskarżają społeczeństwo; tak też czynią i anarchiści. Uskarżają się oni cynicznie, że nie osiągnęli w społeczeństwie szczęścia; szczęście zaś zawiera się dla nich w używaniu życia za jaką bądź cenę. Ubóstwo, a raczej niezamożność (bo w Europie każdy człowiek pracowity może łatwo wyjść ze stanu ubóstwa) jest dla nich rzeczą „wstrętną“ („*objecte*“ jak je nazywa Darwin). Żądza używania przesładuje ich ciągle; napadają na religję i kodeksy praw za to, że nie sankcjonują cielesnej chuci, napadają na nauki moralne, które nie pozwalają składać hołdów osobistym zachciankom, odrzucają nawet samą ideę moralności, idąc za Nietschem, który powiedział,

że niema „nic głupszego nad pojęcie moralności.“ Renan otwarcie przyznaje się, że woli masy niemoralne, niż sfanatyzowane przez wiarę. W następstwie tego pomiatania moralnością wytworzyły się dwie sfery: wyższa—ludzi „wykształconych“, cieszących się szczęściem, powodzeniem i życiem, i niższa—ludzi pragnących tego szczęścia i gotowych użyć wszelkich sposobów dla osiągnięcia celu. Młodzież, którą do anarchizmu doprowadziła teoria „walki o byt“, odznacza się wybujałym egoizmem i pełna jest nienawiści. Przyzwyczajona uważać ludzi za wyższy gatunek zwierzęcy, postępuje ona w sposób zwierzęcy. Wychowanie, pozbawione kierunku moralnego, nie uczy jej prawdziwej mądrości, nie daje poczucia sprawiedliwości, napawa ją jedynie pychą i żądzami. Filozofowie w rodzaju Renana pamiętać powinni, że niemoralność nie wyklucza fanatyzmu, czego dowodem są anarchiści; nie wyklucza go podobnież wiedza ściła.

Godne wielkiej uwagi są słowa Proala o wpływie pisarzy na umysły ludzkie. Odpowiedzialność pisarzy jest zaiste straszną, jakkolwiek sami oni wolą mniemać, że ich dok-

tryny nie wpływają na czyny ludzkie; tymczasem sofizmat pisarski częstokroć więcej szkodzi ludzkości, niż samo przestępstwo. Zanim przewrotne pojęcia o rodzinie, religji i społeczeństwie przedostały się do szerszych mas ludu, wyległy się one w dziełach pisarzy. Umysły młode lub mało wykształcone, chwytają w lot nęcące idee i wprowadzają je w życie. Proal badał raz oskarżonego o fabrykację bomb młodzieńca, który się odznaczał pracowitością, oszczędnością i dobrem prowadzeniem się; jedyna rzecz która go zgubiła—był to sofizmat. Pokój jego znaleziono wypełniony broszurami i dziennikami anarchistycznymi, one to zawróciły mu głowę. Trzeba pamiętać, że istnieją nie tylko fizyczne trucizny, lecz i umysłowe, oraz że są idee, które przyrównywać można do materji wybuchowych; biada ludowi, którego umysł przetadowuje się niemi! Anarchizm polityczny wypływa z anarchizmu moralnego, który jest wynikiem anarchizmu umysłowego. Dlatego zadaniem każdego dobrze myślącego człowieka jest zbijać przy każdej sposobności fałszywe teorie społeczne — kto bowiem tego nie robi, staje się niejako

współwinnym ich skutków. Propagandzie złego trzeba przeciwstawiać pojęcie dobra; sofizmów nie trzeba pozostawiać bez protestu. Ludzie, stojący u szczytu, mają przede wszystkim obowiązek podawania dobrych przykładów, jeżeli pragną na ulicach i w umysłach przywrócić spokój. Skandale parlamentarne, nieuczciwe zdobywanie fortun, sprzedajność polityczna powinny ustać; w ten sposób osłabiony zostanie anarchizm.

Osobny rozdział poświęca Proal w swej książce „nienawiściom politycznym.“ Według Bossueta, Bóg w sercu człowieka umieścił dobroć, jakby świadcząc przez to o naszym podobieństwie do Niego. Azaliż to prawda? — woła Proal, wyliczając wszelkie nienawiści ludzkie: teologiczne, narodowe, socjalne, stanowe, rasowe i t. d. Wilk nie pożera wilka, ale ludzie się pożerają wzajemnie. Podczas wojen pelopeneskich ateńczycy oświadczyli obywatelom wyspy Melos, którzy chcieli się wyłamać z pod ich władzy: „o sprawiedliwości mogą mówić tylko równie silne strony.“ Zasada ta, jak czerwona nić, wije się przez wszystkie dzieje; zabija ona całe rasy. Niena-

wiści socjalne zabijają szlachetny patriotyzm, nienawiści partyjne zabijają ład w państwie. Gdy przeciwnik ma siłę, wówczas go spotwarzają i szkalują; strona silniejsza katuje słabszą z tem większem szaleństwem, że kat nie zna przebaczenia. Rewolucja francuzka podszczuwała przeciwko swoim nieprzyjaciółom i ofiarom pijane tłuszcze. „*La canaille est à nos ordres!*“ — przechwalał się publicznie Danton. Tłuszcze zaś mordują i niszczą wszystkim bez namysłu. Bezceństwa rewolucyj przypisuje Proal apatji ludzi uczciwych i z żalem zauważa, że energja ich i dzisiaj słabnie w miarę rozzuchwalania się wrogów społeczeństwa.

Z kolei przechodzi autor do hypokryzji, czyli obłudy politycznej. Ludzie, żądni władzy i stojący u jej szczytu, udają zawsze, że są zacni i sprawiedliwi, rozczulają się nad nieszczęściami bliźnich, wykazują zdwojoną pobożność; wszystko to jednak jest przybraną maską. Dzieje nie znają chyba większego hypokryty nad Robespiera albo Cromwella, który ze łzami w oczach i cytatami z Pisma św. na ustach zapewniał, że władza mu ciąży i że

wolałby na wsi pasać baranki. Podobnież i narody zwyciężkie uprawiają *en masse* obłudę polityczną, przekładając przy każdej sposobności innym, że działają dla ich szczęścia. Demagogowie uroczyście twierdzą, że mają na celu jedynie dobro ludu. Hypokryzja wpływa z poczucia obawy przed zemstą ludu; obawa też czyni hypokrytów okrutnymi. Zdarzają się chwile, że ludzie uczciwi wolą żyć razem z wilkami, niż wystąpić przeciwko nim—o tem hypokryci dobrze wiedzą. Zbadawszy nastrój tłumów, umięją oni doskonale je oszukiwać; przywódcy ruchu socjalnego występują jako najczulszy przyjaciele nieszczęśliwego ludu, ale w istocie są często jego uwodzicielami.

W Paryżu, jak ongi w Atenach, najpopularniejsi obrońcy ludu są zarazem najprzewrotniejszymi ignorantami. Dla ogłupienia ludu posługują się oni propagandą niewiary i nieokiełznanej wolności, jakkolwiek chodzi im tylko o własną wolność; dla dobra publicznego głoszą potrzebę rewolucji, owego „dobroczynnego szatana“ ludzkości. Tymczasem demagogowie, którzy krzyczą tak wiele prze-

czajów społecznych. Są to duże rozdziały, opatrzone licznymi cytatami. Spotykają się w nich częstokroć głębokie myśli, świadczące o wielkiem poczuciu prawd duchowych u autora. „Niezmiernie trudniej—powiada on—wywołać rewolucję moralną, niż polityczną; łatwiej jest zmieniać rządy, niż sumienia.“ Przytaczając dzieje korupcji politycznej we Francji, Proal robi uwagę, że rządy restauracji i Ludwika-Filipa odznaczają się mniejszem zepsuciem pod tym względem, niż republikańskie.

Wybory i głosowanie ludu zdawały się niedostępnymi dla korupcji; jednakże czasy obecne przekonywują, że nawet głosowanie powszechne stało się pospolitem narzędziem w ręku ambitnych polityków. Stronnictwa rządzące wywierają wszelki możliwy nacisk na głosujących: gminom przyrzekają zapomogę i roboty publiczne, urzędnikom — awanse, wpływowym jednostkom — order; niepodległych wyborców szykanuje i popycha władza administracyjna. Kandydaci na przedstawicieli ludu kadzą mu pochlebstwami i otaczają się osobiściami, które ich mowom przyklaskują za zapłatę. Dziś dostatecznie jest pięknie mówić,

aby się wynieść nad tłum, należy tylko przyrzekać wyborcom jak najwięcej pięknych zmian, chociażby wiadomem było, że to są rzeczy niewykonalne. Dochodzi do tego, że przy urnach wyborczych popełniane są pospolite oszukaństwa, w postaci fałszywego obliczania głosów.

Proal znowu zwraca się do uczciwych ludzi wszystkich stronnictw i zaleca im, aby się usilnie starali o zapobieżenie hypokryzji wyborczej. Obojętność polityczna jest w danym razie grzechem nie do darowania.

Przewrotność polityczna skoszlawiła nawet prawodawstwo i sądy. Powołane do broni swobody i własności obywatelskiej ciała prawodawcze stały się w ręku polityków środkiem do gnębienia przeciwników. Politycy uczynili je areną walk stronnicych; łatwo przytem znaleźć uczonych prawników, którzy gotowi są uzasadnić najbardziej niesprawiedliwe postanowienia. W parlamentach wysuwają się na pierwszy plan krasomówcy, adwokaci i profesorowie, to jest ludzie słowa, podczas gdy ludzie myśli i czynu zostają w cieniu. Trzeba wprawdzie mówić dobrze, ale nie

potrzeba żadnych młynów i cymbałów krasomówstwa, rozlegających się z trybun sejmowych. Projekty prawodawcze przychodzą pod obrady bez należytego wystudjowania—zjawisko dziś powszechne na Zachodzie.

Najstraszliwsze wszakże skutki nieszczerzej polityki objawiają się w korupcji sądów i spaczeniu ich zadania moralnego. Stronnicstwa rządzące zwykle ustanawiają wyjątkowe sądy polityczne, aby tem skuteczniej zgnębić przeciwników. Senat rzymski za Cezarów, sądy angielskie za Cromwella, trybunały francuskie w epoce wielkiej rewolucji, były to narzędzia nienawiści. Napoleon I, w procesie księcia d'Enghien, wyznaczył komisję, złożoną wyłącznie z wojskowych, którzy pogwałcili wszystkie przepisy sądownicze, gdyż Napoleon z góry skazał księcia na śmierć. Polityka miesza się nawet do najzwyczajniejszych czynności urzędowych; urzędnik staje się narzędziem w jej ręku i musi wyrzec się swej indywidualności, dbając o to, aby był dobrym wykonawcą rozkazów, lecz nie dbają wcale o to, aby był dobrym człowiekiem, odpowiedzialnym samoistnie za swe czyny.

Autor zauważa, że duch narodów urabia się podług ducha rządów. Gdzie rząd jest zły, tam naród staje się podejrzliwym i trwożnym, natomiast istnienie dobrych rządów umoralnia ludzi. Ciągła zmiana rządów powoduje sceptyzm i budzi instynkta rewolucyjne, zmuszając do kupczenia przekonaniem. Każda zmiana rządu pociąga za sobą powstawanie i upadanie dużych fortun, co dla pracownej ludzkości jest ciosem. Gdy rząd zaczyna się chwiać, wówczas wszyscy ambitni i wykołejeni rzucają się w wiry walki politycznej, aby coś dla siebie wyłowić, ztąd wypływa brak zamiłowania do czynnej osobistej pracy; poważni działacze społeczni zostają na uboczu i nie wpływają na bieg spraw. Mali tyrankowie w gminach i okręgach miejskich wkładają na lud jarzmo moralne, władza wykonawcza słabnie, oczy wszystkich zwrócone są na krasomówców i deputowanych. Zepsucie obyczajów publicznych staje się wówczas powszechnem.

Aby wyrwać społeczeństwo z tego stanu, potrzeba wielkiej siły moralnej, której nie da ani ateizm, ani sama tylko wiedza. Siła ta

leży dla Europy w chrześcijaństwie: wszak ono wprowadziło w życie święte zasady, z których wypływa poczucie wolności osobistej, równości i braterstwa, ono bezustannie głosi, że trzeba się starać o doskonałość wewnętrzną. Materjalizm zasady te spaczył i w imię braterstwa pawił we krwi tysiące ludzi zupełnie niewinnych z punktu widzenia moralnego. Oto dlaczego występne rządy i obłudni politycy twierdzą, iż chrześcijaństwo jest wrogiem społeczeństwa.

W końcowym ustępie Proal streszcza swoje własne sądy, które zresztą poznaliśmy już w poprzednich rozdziałach. Ponieważ dziś lubią wszystko, co nowe, to czemuż nie może odegrać roli takiej nowości polityka moralna? Dla czegoż nie mamy uznać, że w życiu publicznem jak i prywatnem uczciwość jest największą cnotą? W panującej obecnie teorii Machiawela więcej jest niemoralności, niż głębokości sadu, polityka machiawelistyczna nie potrzebuje genjuszów. Polityka powinna nie tylko dążyć do porządku i dobrobytu, lecz powinna także dbać o moralne wychowanie ludów. Sceptyzm i materjalizm zaciemniły istotne

zadanie polityki, ztąd powstały wszelkie polityczne pozytywizmy, nihilizmy, anarchizmy.

W stosunkach międzynarodowych powinna również panować moralność; przypuszczać można, że wojny z postępową prawdziwą cywilizacją będą się stawały rzadszymi. Moralności powinni zwalczać wszelkie sofizmaty polityczne i wpajać w bliźnich przekonanie, że nie masz żadnej podwójnej moralności, że cel nie uświęca środków, że najwyższym prawem jest sprawiedliwość, że „racja stanu“ jest zaprzeczeniem racji, że rządzić trzeba, jednocząc, nie zaś dzieląc, że prawo silnego jest raczej prawem wilków, niż ludzi i t. d. Podobnie, jak wiedza bez sumienia, jest podług Rabelaisa ruiną dusz, tak też i polityka bez moralności jest ruiną społeczeństw.

---

## Ameryka Bourgeta.

Od pewnego czasu poważni krytycy francuzcy zaznaczają w duchowem życiu Bourgeta wyraźny zwrot ku chrześcijaństwu; niektórzy uważają go już za nawróconego, a przynajmniej gotowego do nawrócenia się. W jaki sposób dokonywa się ten zwrot w duszy Bourgeta i jakie czynniki na to się złożyły — rzecz to niezmiernie ciekawa, zwłaszcza, gdy chodzi o pisarza takiej miary i takiego rozgłosu, jak autor „Cosmopolis'a.”

Dwutygodnik francuzki „La Quinzaine” przyniósł w którymś zeszycie doskonały wizerunek duchowy Bourgeta p. t. „*Paul Bourget essayiste*”, pióra Felicjana Pascala. Wyjaśniewszy zasadnicze rysy pisarza i dotyczą-

sową drogę, którą przebył ten wielki talent, krytyk francuzki rozbiera znane dzieło jego „*Outre-Mer*“, zawierające szkice z podróży po Stanach Zjednoczonych. Na stronicach, poprzedzających ów rozbiór, Pascal przytacza ze wspomnień włoskich Bourgeta przepiękny obraz dwóch posągów na mogile Aragazziego (sekretarza papieża Marcina V), który został pochowany w Montepulciano.

„Jeden z posągów przedstawia Wiarę. Jest to kobieta pełna rezygnacji i słodka, z pochodnią w ręku. Zdaje się uśmiechać do śmierci, ponieważ uśmiecha się na mogile... Drugi posąg wyobraża także kobietę, o rysach surowych, o włosach krótkich i wijących się. W ręku ściska ona atramentnicę; widocznie dłoń jej opuściła pióro, którem zamierzała skreślić z zimną rozwagą jakąś obserwację. Postać ta nie uśmiecha się... na twarzy jej czytamy smutek... to Wiedza, która stanęła zalekniona przed nierozwiązalną zagadką...”

Te dwa posągi zdają się stawać często przed oczyma Pascala. Krytyk ten jest szczerym chrześcijaninem i dlatego łatwo mu zro-

zumieć stan duszy Bourgeta, o ile on się w ostatniem dziele jego objawił.

W życiu Bourgeta podróż do Ameryki stanowi niejako dobrą przełomową. Dotąd zajmowały go jedynie życie indywidualne i poruszenia serca ludzkiego w zapasach ze sobą, lub z istotami, przenikającymi jego własny byt. W „*Outre-Mer*“ przeciwnie, zajmuje go prawie wyłącznie ludzkość zbiorowa i całą uwagę jego pochłania życie mas, działanie grup społecznych, oraz idee poruszające olbrzymi organizm wielkiego narodu.

Już w „*Cosmopolis*“ Rzym chrześcijański obudził w autorze poczucie niedoli pracujących mas, nad których dobrem Kościół i papieżstwo czuwają od wieków. Wielkie i miłosierne słowo Papieża z wysokości Stolicy Apostolskiej padło w tłumy; rozprawianie o nędzy klas robotniczych stało się modą nawet w salonach, gdzie się uśmiechały wesole usta bogatych kobiet.

I oto Bourgetowi nadarzyła się sposobność ujrzenia i szczegółowego zbadania stosunków społecznych w kraju, gdzie cały naród jest ludem i gdzie posiadacze miliardów

pracują więcej od najuboższego ze swych robotników. Bourget w tych studjach pozostaje sobą: wzrok jego zatrzymuje się na ludziach i rzeczach z tą samą serdeczną sympatją; autor zachowuje ten sam dobry ton, właściwy ludziom, którzy nikomu nie chcą ubliżyć; prawie wszystkie rzeczy wydają mu się godnymi pochwały, a jednak to wcale nie przynosi ujmy jego szczeroci.

Francja i Europa, jak się przekonał Bourget, stały się pastwą trzech potęg, trzech bóstw brutalnych i nieuniknionych: demokracji, wiedzy i idei rasy. Udając się przeto do Ameryki, autor uprzytomnił sobie wielkość powołania pisarskiego i postanowił przyglądać z wielką uwagą stosunkom amerykańskim, aby ztąd wyciągnąć korzyść dla swoich czytelników. Dwa tomy „*Outre-Mer*“ zawierają mnóstwo faktów, rozmyślań i spostrzeżeń z wielkiej dziedziny życia filozoficznego i moralnego, które się przed oczyma autora rozłożyło z tamtej strony Atlantyku.

Bourget poszukuje w ludziach i przedmiotach objawów ich szlachetności i wielkości; już od pierwszych kart jego książki pro-

ces ten staje się widocznym. Roztacza o ile może najżywiej, obraz olbrzymiego parowca, który go unosi, zachwyca się jego ogromnemi rozmiarami, szybkością, życiem ludzkim, które na nim tętni energją, której jest uosobieniem. I cały świat amerykański wydaje mu się niezmiernym potworem, o stalowych muskułach, toczącym się zwycięzko po niezmiernie ruchomych falach.

Dokładność wzroku Bourget'a jakby się zwiększa i wszystkie jego zmysły wskutek silniejszych wrażeń nabierają podniesionej siły, co też odbija się na jego stylu. Zdaje się, że wyteęza swe władze duchowe, aby lepiej rozumieć. Człowiek, który dotychczas tylko marzył, rozmyślał, albo rozkoszował się spokojnemi wrażeniami i powolnemi wzruszeniami, nagle ustępuje miejsca człowiekowi gorączkowemu, unoszonemu bezustannie przez wagony elektryczne, przez windy, dochodzące aż do dwudziestego piętra domów w Chicago, przez widok takiej olbrzymiej maszyny, jak dziennik w New-Yorku, czy fabryka mięsa w San-Francisco. Otacza go nagle działalność, która pożera tam wszystkich. Podobnie jak ludzie

anemiczni udają się w góry dla odświeżenia krwi, Bourget wyruszył do Stanów-Zjednoczonych dla odnowienia woli—i życie amerykańskie porwało go w swe prądy, odurzyło, poruszyło i rozgorączkowało.

Praca w Ameryce nie posiada już tego piętna kary, jak w Europie. Amerykanie oddają się jej, jak zbawiennemu ćwiczeniu władz, których spokoj<sup>o</sup>stam uważaliby za nieszczęście. Podobnie jak w Europie wśród klas uprzywilejowanych marzenia wywołują zachwyty, tak też w Ameryce to samo wywołuje się przez pracę. Gdy amerykańsin zdobędzie miliony, nie spocznie na wawrzynach, owszem, organizm jego domaga się coraz większej walki z przeszkodami: tylko pokonywanie ich daje mu uczucie zadowolenia. Jeżeli Europa cierpi na brak woli, Ameryka jest przeładowana zbyt-kiem energii.

Mimo takich wspaniałych rezultatów osiągniętych przez siłę woli, życie amerykańskie przedstawia się Bourgetowi, jako niepozbawione pewnych niebezpieczeństw, wypływających z nadmiaru osobistej energii i chęci. Zwłaszcza dotyczy to kobiet, które, podobnie jak i męż-

czyźni, usuwają na drugi plan życie umysłowe, uczuciowe, a nawet religijne. Działalność woli zużywa u nich władze serca i mózgu. Kobiety są tam żadne panowania, a więc łatwiej im przychodzi uprawiać flirt, z drugiej strony często psują swe zdrowie i piękność w gonitwie za niepodległym bytem lub wiedzą.

Podziw dla stosunków amerykańskich nie zagłusza jednakże w Bourgeoisie wrodzonej tęsknoty do bytu duchowego. Wśród wirów tego kolosalnego życia społecznego przychodzi mu do głowy uzasadnione pytanie: „Kiedy tu rozmyślają? Kiedy umierają? Kiedy się kochają? Kiedy się tu jest wreszcie tylko człowiekiem, a nie maszyną do roboty i do ruchu?”

Odpowiedzi Bourget na to nie daje. W tem zorganizowanem życiu nie zostało miejsca dla potrzeb serca i wyobraźni. Serce jest zbytęcznym organem dla tych ludzi, zwróconych ku ziemi, jak gdyby ona była ich jedynym początkiem i końcem.

Zresztą amerykanie nie są niereligijni. „Podróżują oni z książkami do nabożeństwa“, ale są to ludzie, dla których religja nie stanowi ani marzenia, ani tęsknoty. W ich życiu

religijnem większą rolę gra wola, niż wzruszenie lub uczucie. Bóg dla nich jest jakby wierzyicielem, z którym muszą akuratnie załatwiać swe rachunki, kościoły zaś są jakby klubami do użytku ludzi z lepszej sfery, gdzie ubodzy miejsca nie mają. Przynajmniej Bourget nie mógł dociec, o jakiej godzinie ubodzy się modlą w tych halach.

Oczywiście dotyczy to życia religijnego protestantów amerykańskich, bo katolicyzm musiał tam w przeważnej części zachować swój charakter powszechny. Poznanie tych stosunków przyczyniło się do wyrobienia w Bourgetcie dokładnego pojęcia o roli religji w społeczeństwie amerykańskim.

Badając dalej ideę rasy, przekonywa się, że idea ta jest tam bardzo żywotną, i że wchłanianie obcych ras odbywa się na lądzie amerykańskim z wielką siłą, zmieniającą instynkta i charakter rasy wchłanianej.

Autor przekonał się, że amerykanie szczerze wprowadzają w życie zasady demokratyczne. Głębokie uczucie równości wobec prawa i swoboda osobistej inicjatywy w zakresie praw ustanowionych, przysługująca każdemu

obywatelowi, wydaje się Bourget'owi niezmiernie wyższą od hypokryzji demokratycznej, panującej we własnej jego ojczyźnie. Demokracja, wzorowana na amerykańskiej, nie tylko nie wzbudza w nim odrazy, lecz staje się pożądaną i rozsądną.

Ciekawe są także obserwacje Bourgeta nad rozwojem wiedzy w Ameryce.

Tam wiedza nie kroczy ryzykownymi ścieżkami; nauka nie jest dumna z siebie i nie wdaje się w dziedzinę nieuchwytnych rzeczy. Ograniczając się tylko do faktów zupełnie pewnych, nauka umie tworzyć cuda, a jednak zostaje w zgodzie z religją, uważa bowiem dziedzinę wiary za nietykalną. Ma się rozumieć, że Bourget'owi robi się przykro na wspomnienie rewolucji francuskiej, od której zaczyna się w Europie przewrót i wypaczenie idei rasowej, naukowej i demokratycznej.

Gdy poznanie życia amerykańskiego przywróciło mu wiarę w naukę i demokrację, wówczas wykrył Bourget dla własnego użytku nowy sposób rozstrzygnięcia problemu religijnego. Religja i wiedza dotąd go nie zadawały. Ale wreszcie usłyszał mowę biskupa Ire-

land'a, głoszącego potrzebę ścisłego zespolenia pomiędzy kościołem a dzisiejszym stuleciem i twierdzącego, że Bóg objawiony działa przez Kościół, i że Kościół Boga żywego, który odniósł tyle zwycięstw nad poganami i barbarzyńcami, nad fałszywymi filozofami i herezjami, nad niewiernymi królami i rozpustnymi narodami, że ten Kościół nie czuje żadnej obawy wobec wieku XIX, jak nie czuł wobec innych stuleci. Słowa te jakby oświeciły Bourgeta i przemieniły jego umysł.

„Przyszły czasy — woła on — gdy chrześcijanin powinien zgodzić się na wiedzę i na demokrację i pogodzić je ze sobą“.

Na potwierdzenie szeregu domysłów przytacza teorię Spencera o możliwości pogodzenia religji i wiedzy. „Pierwsza ma za przedmiot dziedzinę niepoznawalnego, czyli to wszystko, co nie może być zbadanem i zaliczonem do dziedziny drugiej: należy jedynie unikać pomieszania tych dwóch jednakowo niezbędnych potęg duszy ludzkiej, które działają obok siebie“.

Przedstawiwszy rozwój poglądów Bourgeta na religję aż do tego punktu, Felicjan Pascal słusznie powiada, że dalszy rozbiór jego

wiary, sformułowanej i wyrażonej w taki sposób, należy już do zadań teologii. Rzeczą krytyki literackiej było zgrupować jedynie charakterystyczne rysy pisarza.

Niepokój religijny, który przedtem ogarniał Bourgeta, stawał się coraz widoczniejszy w szeregu jego szkiców, tak iż subtelna psychologia jaką uprawiał, przybierała niekiedy cechy spowiedzi przed konfesjonałem. Jeżeli Bourget w szkicach z Ameryki doszedł aż do sformułowania, chociażby własnej tylko teorii religji, to było wynikiem tkwiącej w nim potrzeby duchowej. Dwadzieścia pięć lat temu, gdy Bourget wchodził w świat, wszystko sprzyjało temu, aby znieczulić w nim potrzebę religji, a jednak ostatecznie nic nie powstrzymało go od przyznania racji chrześcijaństwu.

Oczywiście — powiada krytyk — istnieje jakaś siła, leżąca poza nami i działająca na nas, jak działa atmosfera, w której się poruszamy.

Wiedza nie dała Bourget'owi żadnych pewników. Im więcej się w niej zatapiał, tem większa otaczała go ciemność. I wówczas przyszły doń zdaleka ciche głosy, pełne pocieszenia

i blasku, płynącego od bolesnej twarzy Zbawiciela. Głosy te zeszyły nietylko ku Bourget'owi, ale i ku wielu innym, wybitniejszym umysłom. I w tem leży wielka tajemniczość stulecia, idącego już ku schyłkowi.

Bourget jeszcze nie jest zupełnym chrześcijaninem, lecz zwraca twarz do Boskiego światła i pragnąłby pogodzić z chrześcijaństwem przyjaciółkę swej młodości—sceptyczną wiedzę. „Lecz czyż on nie pamięta o tym posągu z Monte-Pulciano, który jest uosobieniem pychy, wywołującej tylko cierpienia i tworzącej noc bez zorzy?“

To pytanie p. Pascala jest zupełnie uzasadnione i doskonale określa obecne stanowisko Bourgeta. Autor „*Cosmopolis*“ już uznał potrzebę i prawdę chrystjanizmu, ale jeszcze nie wyrzekł się zupełnie ideałów swojej przeszłości.

## Dusza japońska.

---

Zostawmy cyfry na stronie. Niech inni mierzą obszar Japonji, obliczają wywóz towarów, długość kolei, ilość szkół, pojemność floty, wartość wojsk. Cyfry te już zresztą istnieją i dostępne są dla wszystkich. My zaś zagłębimy się w tegoczesnego ducha Japonji, w ten świat pojęć jakby nieuchwytny, nieokreślony, bezprzedmiotowy, a jednak dostępny badaczowi, jak duch każdego innego narodu. Japonję mało znamy; raczej wcale jej nie znamy, a znać ją potrzeba nieodzownie. To niemal już nasz sąsiad. Z nad Wisły do Tokjo tylko kilkanaście dni podróży. A przytem Japonja jest dziś czynnikiem w polityce ogromnej wagi. Szkoda więc, że kultura jej wciąż jest okryta dla nas zasłoną tajemniczości.

André Bellessort spróbował podnieść tę zasłonę. Dzieło jego uwieńczyła akademja francuzka; zostało nawet przełożone na język polski. Tylko francuz zdolny był w sposób tak niezwykle łatwy i przejrzysty wywołać na kartach swej książki owego ducha japońskiego i okazać go światu w postaci tak jasnej i wytwornej. Cóż to za duch? Zkąd się wzięli japończycy?

Pochodzenie i język japończyków otoczone są tajemniczością. Bo proszę zauważyć, czy oni umieją wytłumaczyć, zkąd pochodzą? Istnieje tak dawno, że muszą pochodzić od jakichś bogów. Nawet ich szkolne podręczniki twierdzą, że pierwszą cesarzową Japonji była bogini słońca. I cóż dziwnego w tem, że cesarz jest wnukiem bogini słońca, że Japonja jest krajem wschodzącego słońca, że to słońce jest herbem państwowym — czerwona kula na białej fladze? To legenda żyjąca aż do dziś dnia. Czy japończycy przyszli z Mongolji przez Koreę, czy z archipelagu Malajskiego przez Formozę — niech sprzeczą się o to uczeni nasi i japońscy. Mówią, że baskowie w Pirinejach doskonale rozumieją ze 60 słów japońskich.

Może oni kiedy wspólnie mieszkali na Uralu? Nie roznamiętnia nas ta kwestja. Że malajczycy, metysi z wysp filipińskich, tagalowie, sjamczycy spoglądają dziś na potężną Japonję, jak na starszego brata — to chyba jest ważniejsze.

Zkąd się wzięli Japończycy — niech powoli wyświetlą uczeni. Dość tego, że są. Bardzo pięknie. Ale cóż oni robili od paru tysięcy lat? Niech-że mówią. No, naturalnie, zaczynają siebie pamiętać w stanie feudalnym. Po między IV a VI wiekiem naszej ery chińska cywilizacja, zalewając archipelag japoński, zastała tam społeczeństwo zorganizowane, z monarchą boskiego pochodzenia. Wtedy Japończycy wytepli już dawnych mieszkańców wysp, brodatych ainosów, którzy nie zostawili im żadnej cywilizacji. To też duch japoński był ubogi, nawet nie posiadał sztuki. Ledwie zaczął uprawiać wierszowany epos. Dzikie, kapryśne usposobienie, giętkość umysłu, długo przebywającego w ciemnościach, zdolność przejęcia się rzeczami nowymi cechowały już wówczas ducha japońskiego, urabiającego się wśród przyrody i wybuchów wulkanicznych. Góry,

wyspy, wody — sprzyjały tworzeniu się państw oddzielnych. Cywilizacja chińska przyniosła japończykom biurokrację, ministrów, całą drabinę godności, rozdział władzy cywilnej od wojskowej. W Chinach żołnierz był wprawdzie w cieniu, kupiec na pierwszym planie; japończyk żołnierza wysunął naprzód, bo duch japoński był dziarski i wojowniczy; nawet mnisi buddyjscy w Japonji chodzili z bronią.

Wszystkie państewka japońskie miały jednego mikada na czele, bo ten był wszak wnukiem bogini słońca. Mikadowie, umęczeni rządami, chowali się do klasztoru przed swoją boskością, rozmiłowani w sztukach pięknych, władzę zaś oddali jenerałom czyli shogunom, prowadzącym walkę z barbãrzyńcami.

Na uroczym dworze mikadów roiło się od duchownych, księząt boskiego pochodzenia, kobiet i kwiatów. Wzorem monarchy wojskowi i kupcy długą resztę życia starali się spędzać w buddyjskiej nieczynności. I oto Japonja miała szereg monarchów, których nigdy nie oglądała, przyzwyczajona wielbić tajemniczą ich władzę, a shogunowie rządzili fa-

ktyczenie. Tak trwało przez szeregi wieków, poczynając od cywilizacji chińskiej w Japonii.

A nie zapomnijmy, że przez 4 wieki Japonję szarpały wojny domowe; w XIII wieku odparła ona najazd mongołów i znowu pogrążyła się w walkę shogunów, dochodząc do anarchji, podobnie jak Europa średniowieczna. W owych czasach przez długie wieki nie zdobyła się Japonja na nic nowego, tylko na laku i jedwabiu tworzyła cuda istne. W wojnach zokrutniała nawet kobieta japońska, własnoręcznie lakierując zęby odciętych głów i zopatrując je w napisy. Brr... ale i my? Czy nie dziczała Europa i podczas wojny trzydziestoletniej nie działały się straszne okrucieństwa? Wojownicza szlachta japońska, samurajowie, miała coś wspólnego z naszą; uczyli się starrannie etykiety, z jaką urodzony szlachcic japoński winien był sobie rozpruć brzuch, chcąc pożegnać życie. Żaden może naród nie posunął dalej tego kultu śmierci nawet wbrew naukom Buddy. To Konfucjusz nauczył ich takiej pogardy życia. Duch japoński był świeży i surowy, ich myśl była uboga: ale rozsądku im nie brakło; szli prosto do swojego celu.

W wojnach domowych szlachta pławiła się we krwi, a lud był przytłoczony do ziemi i kamieni, uspokojony przez bonzów, iż posiadzie jakiś raj nieokreślony. Wtedy, gdy łatwo było o karę śmierci za najłżejszy wybryk humoru złego, wyrobił się w ludzkie tym spokój niezwykły i umiarkowanie, które tak podziwiał św. Franciszek Ksawery.

Kiedy w połowie XVI wieku burza wyrzuciła na brzegi Japonji okręt portugalski, rozkwitł w niej katolicyzm i o mało nie wygrał walki z chińską cywilizacją. Ale przyszedł zły wiatr i burza krwawa zmiotła tysiące tysięcy chrześcijan z Japonji.

Przed tą rzezią zdawało się, że w Japonji nastął wreszcie celowy byt. Nobunaga, potem Hideyoshi centralizują w swym ręku władzę, tłumiąc rozkiełznanych feudalów. Poprowadził ich Hideyoshi na Koreę—wyprawa była jałową. Potem zastąpił go w rządach Yeysan, który w r. 1600 wydał bitwę zbuntowanej północy i zwyciężył w imię syna Hydeyoshi, zostawiając na polu 40 tys. trupów. Tylko katolicy południa nie uznali go i podnieśli bunt. Zostali wymordowani w r. 1638 pod Nagasaki,

śpiewając na walach chwałę Panu i wołając o sprawiedliwość. Japończycy katolicy wyginęli do szczętu. Tylko holenderczykom pozwolono prowadzić handel.

Nad Japonją rozpostarła się noc. Wprawdzie Hideyoshi przywrócił mikadowi dawną cześć i majestat, ale mikado wkrótce zlał troskę na wielkiego shoguna i jego radę. Shogun podzielił kraj na 360 „daimiatów“ czyli kantonów, a w każdym kantonie daimio był panem absolutnym i shogunem dla samurajów czyli szlachty, ci zaś stali się daimiami dla klas niższych. Ale daimio ma władzę na czas krótki; przerzucają go z miejsca na miejsce, jakby jakiego prefekta. W tym systemie jednostka ludzka przestała mieć znaczenie, przestrzegano tylko praw rodzinnych i zwyczajów. Japończycy zostali ujarzmieni w najwyższym stopniu przez ciężką tyranję shoguna i daimiów. Nareszcie sam shogun chowa się za plecami ministrów, zaś cesarz—mikado jest wcale niewidzialny i trzymany na uboczu.

Shogun, schowawszy się w Yeddo, otoczył się dworem zniewieściałym i coraz bardziej ignoruje mikada, któremu nieraz braknie zła-

manego szeląga. Przypomina się mimowoli nasz król, opanowany przez magnatów. Krewni mikada zarabiać nawet muszą na utrzymanie. Shogun wreszcie zaprzestał się udawać corocznie dla złożenia hołdu mikadowi. Wtedy lud japoński przejrzał. Shogun opływa w dostatki, mikado, wnuk słońca, dni pędzi w nędzy. Wytworzyli się filozofowie ludu, którzy zaczęli głosić potrzebę uratowania mikada, bo on był wyrazem, ideą narodu. Wypowiedzieli oni walkę cywilizacji chińskiej, a podnosili szyn-tonizm, wiarę ludu.

W 1840 r. ubogi samuraj Takayama przybył do Yeddo i zapalał oburzeniem na widok wspaniałości shoguna. Potem udał się do Kjoto, siedziby mikada, swego boga. Umarł z żalu, widząc siedzibę jego w ruinach. Naród cierpiał od głodu, pożarów i zdzierstwa daimiów. Przyszła wkrótce wielka rewolucja.

Rewolucja? Tak jest, owa rewolucja, która wyrwała ducha Japonji z ośmiu wieków letargu i nagle postawiła ją w szeregu wielkich państw. Już od lat wielu ukazywały się u brzegów Japonji flagi państw europejskich—zwia-stuny zmian. Shogun i daimiowie poczuli tę

zmianę, gdy do Kjoto, rezydencji mikada, napływać zaczęli samurajowie z południa, gdy po herbaciarniach poczęły się odbywać schadzki i narady polityczne. Ku wielkiemu zdziwieniu rewolucjonistów shogunat upadł w pierwszej bitwie: wódz jego wojsk opuścił swe pułki i okręty, a wielka spróchniała machina shogunatu runęła sama.

Było to w roku 1868.

Dziwny ten zamach stanu uczynił jedynym władcą mikada, który z Kjoto przeniósł się do Yeddo nazwanego teraz Tokjo. Był to młody mikado Mutsuhito (dzisiejszy cesarz), a jego blizcy samurajowie i poplecznicy—byli to dzisiejsi wielcy dygnitarze: margrabia Ito, Jamagata, hrabia Okuma. Ci sami samurajowie wtedy jeszcze marzyli o wygnaniu cudzoziemców, uważając ich za sprzymierzeńców shogumatu. To były marzenia: dziś Ito zawarł przymierze z Anglją. Co za wielkie zmiany! W roku 1889 Japonja otrzymała konstytucję i parlament, w r. 1903 chce dyktować warunki układów o ład azyatycki takiemu mocarstwu, jak Rosja!

Taki jest duch japoński w jego dziejowym rozwoju. Widzimy, z kąd zaczerpnął owe cechy: tę wojowniczość, tę pogardę śmierci, ten spokój, tę żądzę sławy, tę zdolność przyswajania cywilizacji obcych, do których go przygotowały wieki. Wyspiarski, butny, szlachetny duch, a zarazem jakiś fatalistyczny; duch porywczy i zarazem wytrwały; naśladowniczy a zarazem samodzielny; śmiały i zarazem wstrzemięźliwy, tolerancyjny i zarazem w sobie rozmiłowany.

Nastały czasy nowe. W kwietniu 1898 r. obchodziło Tokjo 30-tą rocznicę rewolucji. Dzienniki wydały numery nadzwyczajne, urządzono historyczny pochód dawnych daimiów z przepychem, niezwykłym u japończyków. U stóp pałacu w osobnym pawilonie usiedli cesarz w mundurze jeneralskim i cesarzowa w sukni zupełnie europejskiej i kapeluszu z piórami. Wysłuchali mów patryotycznych i odjechali wśród oklasków szkolnej młodzieży, otoczeni szambelanami i kawalerją z japońskim sztandarem. Był to wnuk słońca — ni mniej, ni więcej. Mniejsza o pochód, mniejsza o czarowne tańce i pozy barwnie ubranych kobiet.

Japonja przestała pozować na zachodnie mocarstwo; stała się państwem wszechświatowego znaczenia.

Nikogo już nie dziwią posiedzenia parlamentu tokijskiego i walka partji. Tę tylko właściwość ma parlament, że go wnuk słońca za często rozwiązuje, i że japończycy za często bawią się w wybory. Ale to odpowiada ich dawniejszym feudalnym przyzwyczajeniom, chciwości wrażeń i zmian. Politycy japońscy przemawiają przeciw wielkim właścicielom, przeciw ministrom, zagłębiają się nawet w socjalizm, ale cesarz jest dla nich nietykalny, jest powagą i potęgą duchową.

Nasz autor, p. Bellessort, odbył przejażdżkę wyborczą w głąb Japonji z kandydatem na posła do parlamentu. p. Kumé, japończykiem zamerykanizowanym. W zimowy dzień w pewnej wsi stanęli oni w jakiejś szopie przed trzystu wyborcami, którzy w swych japońskich ubraniach przykucnęli na podłodze. P. Kumé i jego otoczenie mieli oczywiście stroje europejskie. Przy stołach usiedli mówcy i komisarze policji. P. Kumé napadał na politykę partji rządzących, jego poplecznik, p. Igarashi,

mówił o związku śniegu z cnotami obywatelskimi, drugi, p. Mikatu, chwalił Gambettę i wspomniał o Napoleonie, wykazując dobrodziejstwa parlamentaryzmu. Wyborcy, przeważnie drobnomieszczenie i właściciele ziemscy, oklaskiwali mówców, ale rzadko. Wreszcie trzeci, p. Nojo, wywołał entuzjazm.

— Wybierzcie p. Kumé, to wiatr wiosenny, wiejący dla woźniców, restauratorów, giejsz, i dla mnie, biednego soshi. Wśród śniegów sławny Napoleon przebył Alpy: śnieg pada, widzicie, że samo niebo zapewnia was o zwycięstwie, a zatem niech żyje p. Kumé!...

I w tym duchu mówił dalej. Wiedząc, że lud nie lubi komisarzy policji od czasów restauracji 1868 roku, zwłaszcza gdy oni są na zebraniach, p. Nojo grzecznie dodał, wskazując na nieruchomego urzędnika:

— Przedstawiam wam p. komisarza. Ma wyjątkowo dobre ułożenie. Jest to człowiek zacny...

Słuchacze dali huczne brawo i rozeszli się w milczeniu.

Ta kartka, którą p. Bellessort poświęca wiejskiej polityce, maluje doskonale wyborców

i wybieranych. Mamy np. charakterystykę Mikaty. To był człowiek, co gorąco kochał Francję, do której w młodości pojechał bez grosza. Wierzył w postęp, wolność, sprawiedliwość, naukę. Kumé, z wysokim czołem, rozplaszczonym nosem, grubemi wargami i łagodnym uśmiechem, chodził w popielatym garniturze, nosił złote pierścienie i brylanty, jak amerykanie. Zwiedził Stany Zjednoczone i Anglię i budował kolej na Formozie, zanim zapragnął wejść do parlamentu.

Ameryka wywiera, jak się zdaje, najsilniejszy wpływ na ducha japońskiego. Tak przynajmniej sądzi p. Bellessort. Może dlatego, że amerykańska kultura o wiele prostsza od zbyt skomplikowanej niemieckiej i francuzkiej?

Od parlamentaryzmu krok tylko do dziennikarstwa, a wydawnictw ma Japonja blisko dwa tysiące. P. Bellessort kupował sobie i czytał z pomocą tłumacza „Nichi-Nichi“, organ margrabiego Ito, albo „Jiji-Shimpo“, organ „nie podległy i dosyć ministerjalny“. Najbardziej zaś zajmował go niewielki „Yorozu“, kosztujący miesięcznie 10 sous i wielce hałaśliwy, coś w rodzaju paryzkiego „Petit Jour-

nal". Jaki jest styl politycznych artykułów japońskich wystarczy przytoczyć taką próbkę:

„Żyjemy, jak dawniej, pod jarzmem despotyzmu (ministerjalnego). Parlament zdeptyny przez partje i kliki, stronnictwa znikczemniały, albo spoczywają w odrętwieniu, spowodowanem silnemi narkotykami“.

Rzecz prosta, że to codzienna przesada. Rzutki „Yorozu“ atakuje prezydenta rady państwa: „Sądzicie, że zajmuje się sprawami państwa? Bawi się wyśmienicie, pije sakè i wesełi się w towarzystwie giejsz. Mamy trzech ministrów doskonałych: jeden z nich lubi tancerki, drugi akeje, trzeci łapówki“.

Słowem, prasa taka, jak paryzka. I to w ciągu trzydziestu lat! P. Bellessort rozmawiał z niektórymi publicystami japońskimi. Okazali się wyjątkowo uprzejmymi ludźmi, boganili przed nim swoje urzędnia parlamentarne, ministrów, szkoły, nawet wojsko. Wierzyli, że to wszystko powinno być znacznie lepsze i nie zagłębiali się w samolubne chwalenie wszystkiego co swoje, jak to czynią dziennikarze innych wielkich społeczeństw, w rodzaju niemieckiego. Nie, powinno być w Ja-

ponji znacznie lepiej, niż teraz. Może oni w głębi duszy byli lepszego o sobie wyobrażenia, ale nie chępli się tem.

Religijne systematy, których wpływem Japonja od tysięcy lat podlega, wryły się w duszy narodu i przeniknęły istotę umysłową. Inaczej być nie mogło. Mówiąc o Japonji, trzeba zawsze pamiętać o jej buddyzmie i jej szyntoizmie — dwu religjach: klas wyższych i ludu. Szynto — stara religja japońska może wydać się zwykłym zbiorem legend o boskiem pochodzeniu japończyków i o ich bogach. Nie ma ta religja ani dogmatów, ani ksiąg świętych, ani wiary w życie przyszłe i widzi zawsze tylko sferę przedmiotów otaczających: wymaga czystości i dla tego japończycy kąpią się codziennie. Świątynie nie mają żadnych ozdób i żadnego obrazu, chyba tylko tradycyjne zwierciadło, laski bogów, jedwabie, siodła dla koni świętych, wszystko to jednak zamknięte w skarbcu i wyjmowane tylko w dni uroczyste.

Pod względem moralnym szynto jest to odwaga, honor, miłość rodzinna, łagodność kobiety, poszanowanie zmarłych; uczucia te głęboko przeniknęły ducha japońskiego.

I druga religja, buddyzm z Chin, przepoił wszystkie szczegóły życia japońskiego: literaturę, pieśni, sztukę, przemysł, ogrodnictwo. Buddyjskiej nauce o nietrwałości rzeczy przypisać należy, że w Japonji byt codzienny ma cechę niestałą: małe domki drewniane, składowane w kilka dni, ściany papierowe i przesuwalne, ubranie prute przed każdym praniem, słomiane sandały, szybko zużywane. Japończyk znajduje zadowolenie w tej prostocie życia. Tylko świątynie budował trwało; dziś buduje już pałace, koszary, składy towarowe trwałe. Pod względem moralnym buddyzm daje japończykowi takie cnoty, jak: cierpliwość, rezygnację wobec śmierci, tłumienie egoizmu, uprzejmość dla ludzi (cała wieś wita i odprawia obcego uśmiechami). Buddyzm usuwa przesady i nienawiść—i nic dziwnego, że dziś w Japonji wszystkie wyznania chrześcijańskie mają zupełną wolność.

Te obie religje japońskie zbadał i zgłębił Lafcadio Hearn. Niepospolity człowiek ów Hearn. Syn anglika i Greczynki, po długich wędrówkach osiadł w Tokjo, został profesorem literatury w tamtejszym uniwersytecie, przy-

brał nazwisko Koizumi Yakumo i wydał szereg dzieł angielskich o Japonji. Jest bezwzględny wielbicielej jej ducha. Utrzymuje, że największy myśliciel europejski, Spencer, doszedł do wyników, zgodnych z treścią szyn-toizmu i buddyizmu, t. j., że buddyzm zgodny jest z zasadami najnowszej nauki! I co dziwniejsza, Hearn przekonany jest, że religje japońskie wywierają wpływ moralny większy od europejskiego chrześcijaństwa...

Tymczasem Japonja pokwapiła się już z zapożyczeniem od Europy „ognia i miecza“, wojsk i floty, ale Europie nie pilno do buddyjskiej łagodności i szyn-toistycznej pogody życia. Piękne marzenia Hearna, że świat europejski wypięknieje duchowo przez zetknięcie się z religjami dalekiego Wschodu, zostaną marzeniami jeszcze bardzo długo. Tymczasem japońskie licea, uniwersytety, wyższe szkoły żeńskie — wszystkie te ogniska wiedzy stoją na rozstajnej drodze pomiędzy starem życiem a nowem. Chyba tylko w szkołach ludowych został kult boskiego pochodzenia mikada i jego narodu. Cokolwiekbądź, myśl japońska dziś przesiąknięta jest świadomością, że naród musi

stanąć na szczycie chwały, ten naród, którego przyszłość jest niebyle jaka, że musi dorównać potęgom świata, że musi przewodzić choćby tylko rasie żółtej, że spełnić się winno to, co przeznaczone. Naród nie wątpi, że Japonja jest wielką i że jest państwem przysłości, że słowo mikada ma wagę na świecie. Forma bytu już wynaleziona, teraz trzeba tę formę wypełnić treścią. Jeszcze duch japoński jest jakby za ubogi na to; jeszcze tylko naśladuje; przyjdzie czas, gdy zacznie tworzyć własną nowoczesną, kulturę, lepszą niż dzisiejsza, płodniejszą i głębszą...

---

## Kwestja Azji Wschodniej.

---

Na schyłku XIX wieku Japonja wydała zwycięską wojnę Chinom, wyzwoliła z pod władzy chińskiej Koreę i byłaby zagarnęła południową Mandżurję. Ale wstrzymał ją protest rosyjsko-francuzko-niemiecki. Japonji pozwolono przyłączyć do swych posiadłości wyspę Formozę. Od tego czasu powstała kwestja Azji wschodniej, jedna z najtrudniejszych do rozstrzygnięcia, niezapreczenie najciekawsza dziś z kwestji wszechświatowych.

Rosyjsko-francuzko-niemieckie załatwienie tej kwestji poskutkowało tylko na pięć lat. Już w 1900 r. poruszone z posad przez wojnę japońską, Chiny kusiły się o zrzucenie z siebie jarzma wpływów cudzoziemskich. Ale zostały

pogromione przez sprzymierzone wojska niemal całego świata, nie wyłączając japońskich. A po tym pogromie pokazało się zupełnie jasno, że Japonja ma wciąż niezaspokojone dążenia. Pokazało się przytem, że nietylko Anglja myśli o utrwaleniu swej potęgi na wodach chińskich, ale że i Rosja uznała za niezbędne stanąć mocną nogą nad zatoką Koreańską. Na pierwszy plan wysunęły się więc zasadnicze interesy czterech mocarstw: Rosji, Japonji, Anglji i Chin. Próbowano pogodzić sprzeczności traktatami; pierwsza Japonja zdecydowała się na użycie siły zbrojnej, gdy traktaty nic jej zapewnić nie chciały.

Bez przesady powiedzieć można, że w ostatnich paru latach główną sprężyną w zawilej kwestji Azji wschodniej była i jest Japonja, ona bowiem dobijała się o rozwiązanie tej kwestji najusilniej i wszelkimi sposobami. I nie dziw. Dla Japonji jest to kwestja bytu: jej ludność, jej przemysł, jej handel muszą uzyskać wylew na ląd. Gdy jej tego prawa nie przyznały traktaty, osądziła ona, że pozyska je za pomocą armat i torped.

Ci, którzy twierdzą, że Japonję ogarnęła megalomanja mocarstwowa, że ład dla niej niepotrzebny, że ma ona dla swej ludności jeszcze dosyć miejsca u siebie—popęniają bodaj błąd. Japonja składa się z 487 wysp, a z całej ich powierzchni zaledwie czwarta część może być uprawiana, bo góry, lasy, jeziora, zabudowania miast i wsi zajmują resztę. Mężowie stanu japońscy biedzą się nad tym, żeby zwiększyć posiew ryżu choćby o 3 proc., podczas gdy sama ludność Japonji wzrasta w ciągu dziesięciolecia o 9 procent. Ta więc niezłomna potrzeba wyżywienia zmusza Japonję szukać ziem wolniejszych. W samej Japonji dwie tylko wyspy zdawały się być dostępnymi dla gospodarczej kolonizacji. Wyspa Hokkaido (Jesso) oddzielona wąską cieśniną od Sachalinu, znajduje się w niedogodnych warunkach klimatycznych; wyspa Formoza jest gęsto zaludniona przez chińczyków, a wschodnia jej połowa gorzysta i dla kolonizacji niezdatna. Emigracja przeto za granicę w ostatnich latach wzmogła się znacznie, tak, iż około 100 tys. japończyków mieszka w obcych krajach. Ale w posiadłościach angielskich, amerykańskich i francuzkich

emigranci żółtej rasy mają przeciwko sobie prawa socjalne, tamujące stanowczo ich dopływ w interesie miejscowych robotników. Tak samo w państwie rosyjskiem (głównie w Syberji) mieszka zaledwie kilka tysięcy japończyków, a zapewne i tu z czasem ustanowione byłyby ograniczenia dla emigracji stałej z krajów rasy żółtej.

Tym sposobem emigracja japońska ma wolne ujście tylko na ląd chiński i na pobliską Koreę, stanowiącą jakby dalszy ciąg geograficzny wysp japońskich. Japonja, której brakuje ryżu do wyżywienia, kupuje go sobie w Korei, Sjamie, Indo-Chinach. Żeby zabezpieczyć swej ludności możność dalszego istnienia, Japonja walczy przeciw tym siłom, które jej celom żywotnym stają na drodze. Ztąd wojna chińska 1894 roku, ztąd pośrednio ruch bokserów 1900 r., ztąd wojna z Rosją, a może i dalsze wojny.

Tak więc mocarstwo mikada jest teraz osią kwestji wschodnio-azyatyckiej. W dzisiejszym układzie czterech mocarstw Chiny grają rolę prawie bierną, a Rosja i Anglja mają w zasadzie rolę sił równoważących. Stosunek

dwóch ostatnich sił jest oczywiście najważniejszym czynnikiem w ostatecznym rozstrzygnięciu całej kwestji i nie bez słuszności twierdzą niektórzy publicyści, iż dopóki Anglja i Rosja w jakikolwiek sposób nie zrównoważą swych dążeń na dalekim Wschodzie, dopóty będzie istnieć niebezpieczeństwo, obracające się dokoła osi japońskiej.

Potrzeba wyrobić sobie trwały pogląd na ludy Azji wschodniej i na ich interesy, potrzeba patrzeć jasno na rzeczy i wiedzieć dokładnie, do czego dążą działające tam czynniki. Więc przedewszystkiem Chiny. Wielu jest przekonanych, że chińczycy są narodem spokojnym i cichym, niełubiącym wojny. Fakty jednak świadczą o ich okrucieństwie. Chińczycy nie ustępują dawnym hunnom, odcinają dziś jeszcze uszy wrogom, poległym na polu walki. Wystarczy tylko przytoczyć rozkaz dzienny znanego generała Jamagaty do wojsk japońskich w r. 1894: „Żołnierze!—chińczyk od najdawniejszych czasów posiada uczucia niemiłosierne. Jeżeli kto z was w bitwie wpadnie w ręce nieprzyjaciela, niech będzie pewny, że

poddany zostanie największym torturom: lepiej umrzeć, niż poddać się wściekłemu wrogowi“.

Nikt lepiej od generałów japońskich nie zna chińczyków i świadectwu temu trzeba zaufać; żołnierze japońscy własnymi oczami oglądali straszliwie oszpecone zwłoki towarzyszy i w walce starali się kłaść trupem jaknajwiększą ilość takich wrogów. Dziś jeszcze armja chińska w większej połowie składa się z dzikusów, lękających się własnej strzelby, pędzonych rzemieniem i karanych nożem dowódcy.

Znane są chińskie sposoby tracenia przestępców, rażące okropnością; dzieje Chin są martyrologją zabitych, otrutych i uduszonych bogdychanów; nawet dzisiejszy dwór chiński jest owiany tą samą atmosferą. Wszystkie walki w Chinach kończyły się wytępianiem milionów ludzi; nawet w 1861 r. zatrzymanych podstępnie poddanych angielskich chińczycy dręczyli w sposób najokrutniejszy i rzucali na pożarcie szczurom i wieprzom.

Ten rys okrucieństwa daje nam do zrozumienia, czem byłaby armija chińska, gdyby ją zorganizowano po europejsku i doskonale uzbrojono. Jeżeli ludność chińska na ogół nie

jest wojownicza i ma kupieckie, albo rolnicze usposobienie, to chińczycy, zorganizowani w nowoczesną armję, nie odznaczyliby się bynajmniej łagodnością. Łatwo więc sobie wyobrazić, co gotują światu mocarstwa europejskie, dostarczające Chinom tak chętnie broni i inżynierów. Polityka Chin, zawikłana i niepewna, ma zawsze na celu pozbycie się wpływu obcych mocarstw: jeżeli ta polityka będzie wsparta przez silne chińskie wojsko, to rzecz jasna, że wpływy obce w Chinach się zmniejszą, a na tem wszystkie mocarstwa świata poniosą straty polityczne i ekonomiczne. Nikt w Europie nie życzy sobie naprawdę zwiększenia potęgi Chin, ale wszyscy pragną ciągnąć z nich zyski handlowe. Najmniej może obawiają się tej potęgi Anglicy, nie mający w Chinach terytorjów w posiadaniu, najbardziej ta potęga niezgodną byłaby z interesem Rosji, która wówczas musiałaby utrzymywać olbrzymie wojsko wzdłuż całej swej granicy azjatyckiej. Pośrednio militarizm chiński przynieść mógłby korzyść niejaka Japonji, liczącej może w przyszłości na związek wojskowy z Chinami i szeroką działalność swych przemysłow-

ców w zacofanych jeszcze ziemiach chińskich. Ale w zasadzie trudno przypuszczać, iżby Chiny stały się potęgą militarną już teraz. Rola ich przeto musi być raczej wyczekującą niż czynną.

Czynną natomiast gorączkowo jest Japonja. W chwili obecnej ma Japonja przed sobą tragiczne zagadnienie: Koreę.

Cały ciężar polityki japońskiej spoczywa dziś w Korei. Z dawnych dziejów wschodniej Azji wiemy, jak często i jak usilnie dobijała się Japonja zbrojną ręką o wpływy na tym półwyspie.

Ogólniejszego znaczenia dla całego świata kwestja koreańska nabrała dopiero w ostatnich dziesięcioleciach zeszłego wieku, odkąd Japonja zeuropeizowała się i weszła w stosunki polityczne z Europą i Ameryką.

W roku 1895 Japonji udało się wydrzeć Koreę z rąk chińskich i uczynić ten kraj niezależnym w tym celu, żeby go powoli swoim wpływom poddać i ciągnąć zeń zyski ekonomiczne.

Czytaliśmy niedawno pracę znawcy dalekiego Wschodu, Lewitskiego, który poniekąd

usprawiedliwia stanowisko Japonji w Korei. „Świat powinien, aczkolwiek pod pewnymi warunkami, uznać prawo Japonji do Korei. Zdobywała Koreę orężem — to jedno: po drugie istotnie życzy dobrze temu nieszczęśliwemu krajowi, nie mówiąc już o tem, że ona właśnie otwarła Koreę dla stosunków ze wszystkimi państwami“.

Tak rozumuje rosjanin. To zdanie, wygłoszone szczerze, nie przeszkadza jednak autorowi, broniącemu interesów swojej ojczyzny, bardzo usilnie obstawać za wpływami Rosji na dalekim Wschodzie, a co za tem idzie, i za okupacją przez rosjan Korei.

Faktem jest, że obecnie dążenia Rosji i Japonji względem Korei są całkiem sprzeczne. Ztąd wojna. Po roku 1895 Japonja zrozumiała, że dla zdobycia wpływów na Koreę wypadnie walczyć jej nietylko z Chinami, lecz i z potężną militarnie Rosją. Japończycy wiele o Rosji wiedzieli, ale nie miewali z nią zatargów, prócz zatargu o Sachalin. Kwestja sachalińska została załatwioną w r. 1875 ku zadowoleniu stron obu i dopiero w dwadzieścia

lat potem przyszła kwestja sporna o Koreę, przybierając rozmiary dziejowego huraganu..)

Nie należy sądzić, iżby kwestja koreańska (a zarazem związana z nią mandżurska) miała dla Rosji podrzędne tylko znaczenie, albo że kroki Rosji na dalekim Wschodzie mają tylko charakter dowolnego przedsięwzięcia kolonialnego, którego można łatwo się zrzec w przeciwieństwie do Japonji, dla której cała ta sprawa jest kwestją bytu. Żeby zrozumieć, dla czego ta kwestja dla Rosji jest nader ważną, trzeba uprzytomnić sobie znaczenie dwu słów: „Żółty Bosfor“.

Od czasu Piotra W. Rosja dążyła na Wschód coraz dalszy i szukała tam portu niezamarzającego. Poszukiwania jej zakończyły się znalezieniem świetnego wyjścia na morze w Porcie Artura i Dalnim. Ale zdobywszy te porty, włożywszy w koleje wiodące do tych portów ogromne kapitały, Rosja nie posiadała jeszcze naprawdę wolnego wyjścia na ocean. Jak sułtan w każdej chwili może zamknąć Bosfor na Czarnem morzu, aby nie wypuścić z tego morza żadnego okrętu rosyjskiego, tak samo Japonja każdej chwili mogła zamknąć

cieśninę między swemi brzegami a Koreą i odciąć Rosję od jej kolonij na tymże dalekim Wschodzie, jak np. Władywostok, Sachalin, Kamczatka. Ten „Żółty Bosfor“, będzie miała Japonja w ręku, opanowawszy Koreę. Statki rosyjskie będą wówczas nieraz opływać olbrzymiem kołem ocean Spokojny, żeby się dostać z mórz Europy do Władywostoku. Jeżeli zaś Korea dostanie się cała pod panowanie Rosji, wówczas Żółty Bosfor wymknie się z rąk Japonji; przeciwnie sama Rosja zostanie panią oceanu i dominować będzie nad wyspami japońskimi.

Ponieważ Rosja wówczas byłaby największą potęgą w Azji wschodniej, przeto Anglja wystąpiła przezornie w obronie swych interesów i kolonji azjatyckich. Polityka angielska zdołała wyzyskać sytuację w ten sposób, że Brytanja zawarła związek z Japonją; wskutek tego polityka Japonji stała się bardziej czynną, a Rosja znalazła się w położeniu tem trudniejszym, że i Chiny skorzystały z tego układu stosunków, aby swoje napół utracone przywileje mocniej w ręku zaciskać.

Gdy więc tak ważne i tak sprzeczne interesy tylu potęg zbiegły się na dalekim Wschodzie Azji i czekały na rozstrzygnięcie, nie od rzeczy będzie zadać sobie pytanie: jaki to wpływ wywrzeć może na świat ludzki? Otóż można powiedzieć, że bardzo poważny. Polityka całej Azji opiera się w tej chwili o ubogą i nieznaną Koreę. Japonja jest bez zaprzeczenia — to jej wszyscy przyznają — rasą energiczną i pracowitą. Może być, że dzisiejsze wypadki są początkiem ery, w której ujrzemy przyłączenie Korei i narodów buddystycznych Azji wschodniej do wszechświatowego życia politycznego i ekonomicznego. Nie trzeba sądzić, że przyjdzie jakieś „niebezpieczeństwo żółte“ w postaci najścia na Europę i Amerykę ras żółtych, zbrojnego czy przemysłowego. Ilość żółtych na wschodzie Azji wzrasta na ogół powoli i za sto lat będzie trochę większa, jak dziś, podczas gdy ilość białych w Europie i Ameryce przewyższy ją czterokrotnie. O najściu więc mowy być nie może, ale że nastąpią zmiany naszych stosunków z rasą żółtą — to przypuszczać trzeba.

Jak się te nowe warunki ułożą, trudno przewidzieć, ale można być pewnym, że zależeć to będzie nie tylko od energii ras żółtych, lecz od wzajemnego stosunku Anglii i Rosji. Te dwie siły równoważące są sędziami spraw dalekiego Wschodu. Ich rywalizację, należałoby może nazwać „żółtem niebezpieczeństwem“. Jeżeli sprawy Azji wschodniej rozstrzygają Chiny czy też Japonja, to tylko dla tego, że przechylają się na stronę Rosji i Anglii. Już sam sojusz Japonji z Anglią wywołał przewrót w stosunkach politycznych i zmienił stanowisko Rosji do Chin. Cokolwiekby przy- niesie dalszy bieg rzeczy, wątpić nie można, że „kwestja Azji wschodniej“ nie jest kwestją „kolonialną.“ Dziś jest kwestja wszechświatowa.

---

## Pokój w Portsmouth.

---

W Portsmouth zabłysło słońce pokoju. Przedstawiciele Japonji i Rosji kładli swoje podpisy na traktacie preliminarnym. Ogromnej doniosłości była ta chwila historyczna, gdy na progu amerykańskim spotkały się Rosja z Japonją, aby rozstrzygnąć losy Azji wschodniej. Japonja stanęła jako dobrowolny mandatarjusz Anglji i Ameryki, Rosja samotna, wsparta tylko odległemi sympatjami Francji. Jeszcze niedawno słuchać Japonji w sprawach Azji nie chciano; dziś, po krwawych argumentach wojny, dała Rosja posłuch zwyciężkiemu przeciwnikowi, idącemu umawiać się z nią o Azję. Przyszedł pokój, a z nim nowa era w dziejach Azji.

Sięgnijmy pamięcią wstecz o lat kilkadziesiąt. Konsul brytański Meadows w 1856 roku przepowiadał, że Rosja zagarnie Mandżurję i wzywał potęgi morskie — Anglję, Francję, Amerykę, aby łącznymi siłami temu przeszkodziły. Twierdził, iż dla Europy koniecznym jest, aby Chiny były silne i niepodzielne. Utrzymywał, że Chiny, pewne będąc swego istnienia, otworzą szeroko drzwi spokojnemu handlowi świata i cywilizacji powszechnej. Fakty późniejsze dowiodły, że Meadows przewidział dobrze. Rosja w kilka lat po krymskiej wojnie zabrała Chinom w sposób dyplomatyczny kraje nadamurski i ussuryjski, stworzyła Władystok, który miał „władać Wschodem“. I odtąd stało się jasnym, że Mandżurja, prędzej czy później, podzieli losy Amuru i Ussuri. Chiny czuły, że ich wielki sąsiad północny dąży do rozpostarcia swego władztwa na wybrzeżach oceanu Spokojnego, w stepach Mongolji i Kaszgaru. Gdzie raz stawały konie kozackie, tam wytwarzała się granica, poza którą nie wpuszczano obcych. Chiny to czuły; rozumiała to Anglja, rozumiały Stany Zjednoczone.

Rozumiałyby może i Francja. Ale Francja, w której nastąpiła trzecia republika, Francja mająca silną flotę i wielkie wojska lądowe, popłynęła ten sam czyn, co Rosja: zagarnęła część lądu chińskiego. Admirał Courbet w 1884 r. wpłynął do portu Fuczou, zbombardował nagle forty i zatopił flotę chińską chociaż przedtem zamienił wizyty z oficerami chińskimi. Po kilku miesiącach bezładnego oporu zbrojnego Chin odstępili francuzom Tonkin. Tak więc Rosja na północy Chin, Francja na południu, prowadziły politykę zaboru i interesy ich stały się podobnymi do siebie, a potem wspólnymi. Anglja i Stany Zjednoczone natomiast zawsze unikały zaborów w Chinach, szukając w nich jedynie rynku zbytu dla swoich towarów i swojej wytwórczości przemysłowej. Nie naturalniejszego, że trzy mocarstwa morskie: Anglja, Ameryka i Japonja w końcu powiedziały sobie, że drzwi do Chin raz na zawsze winny dla nich stać otworem. Rosja i Francja wolały drzwi zamknięte.

Stanowiąc ogromną przestrzeń, pełna bogactw naturalnych, Rosja odgradziła się wielkimi ścianami od obcych przemysłów i zaczęła

popierać u siebie swój własny przemysł. To był właśnie Witte, który opiekę nad przemysłem rosyjskim tak szeroko zorganizował. Stworzono kolej mandżurską i port handlowy Dalnij na użytek handlu i przemysłu rosyjskiego. Żeby do Syberji i Mandżurji nie wszedł obcy towar i obcy wyrób, stanęła tam rosyjska siła zbrojna.

Tę siłę państwom morskim trzeba było złamać, drzwi do Mandżurji trzeba było otworzyć. Historia już wie, że moralny mandat otwarcia drzwi włożyły Ameryka i Anglja na Japonję, która w ciągu czterdziestu lat przyswoiła sobie broń europejską, a tę broń ujęła ręka, zaprawna przez dzieje. Chiny w 1894 r. pierwsze doświadczyły na sobie skutku nowocześniejszej broni w ręku japońskim wskutek zatargu o Koreę. Pogromione, straciły Formozę i protektorat nad Koreą. Straciłyby już wtedy Port Artura, gdyby nie Rosja i Francja, które Japonję zepchnęły z lądu azjatyckiego przy pomocy dyplomatów niemieckich. Japonja cofnęła się ze zdobytego Portu Artura. Obsadziła go Rosja, podobnie jak Niemcy obsadziły

Kiaoczau, a Francja sposobila się do obsadzenia Junnanu południowego.

Dziesięć lat przygotowywała się Japonja do otwarcia sobie napowrót tych drzwi, które jej zamknęła koalicja rosyjsko-niemiecko-francuzka. Dziwiono się w Europie z powodu tych przygotowań Japonji, która zamierzyła złamać potęgę wojenną Rosji; nie dziwiono się jednak w Anglii i Ameryce, gdzie japończyków lepiej znano. Anglja nawet zawarła z Japonją sojusz. To już było zbyt poważne, żeby się tylko dziwić. Należało już się z tem liczyć. Zapóźno spostrzegła Rosja to niebezpieczeństwo. W styczniu 1904 roku świat dowiedział się o nagłym napadzie japońskich torpedowców na okręty rosyjskie w Porcie Artura. W wojnie Japonji z Rosją, której okropności stoją dziś w oczach całego świata, mandatarjusz Ameryki i Anglii zwyciężył: Japonja rozwarła drzwi do Mandżurji na oścież.

Przychodzi dziś likwidacja morderczego procesu, toczącego się pomiędzy zwolennikami otwartych drzwi do Chin a zwolennikami podziału ziem chińskich. Proces ten zwany wojną rosyjsko-japońską, wypadł po myśli pierw-

szej strony; Anglja i Ameryka ściskają zakrwawione dłonie swego mandatarjusza; Francja i Niemcy nie bez trwogi myślą o przegranej Rosji. Tonkin i Kiaoczau mogą być tak samo przegrane jak Port Artura. Oto dlaczego wszystkie wielkie mocarstwa (z wyjątkiem Austrii) z tak ogromną uwagą patrzyły na próg amerykański, na którym Komura, wyobraziciel idei „wielkiej“ Japonji, wyciągnął rękę do Witego, obrońcy spraw rosyjskich w Azji wschodniej. Od układów w Portsmouth zależą na długie lata losy Chin, losy handlu i cywilizacji wszechświatowej.

Wojna rosyjsko-japońska, jedna z najokropniejszych w dziejach świata, odchodzi dziś w przeszłość. Trwała przeszło ośmnaście miesięcy, pełnych grozy i ofiar. Niema dotąd dokładnych obliczeń, lecz w przybliżeniu Rosja wydała na wojnę dwa miljardy rubli: z wystawionego miliona żołnierzy straciła 400 tysięcy zabitych, rannych i jeńców; straciła trzy eskadry i kilka tysięcy utopionych marynarzy; straciła około 750 armat. Japonja wydała półtora miljarda jen; z 800 tys. wystawionych żołnierzy straciła przeszło 200 tys. zabitych i ran-

nych; straciła kilka okrętów wojennych i dwa tysiące zabitych i utopionych marynarzy. Zaiste, strasznymi ofiarami zaznaczyła się ta wojna, z której państwo wyspiarskie wyszło zwycięzko nie tylko na morzu, lecz i na lądzie, wywalczając sobie pokój korzystny, choć drogą ceną kupiony.

Układy w Portsmouth ocenić należyce można tylko w związku z tem położeniem wszechświatowem, które wyżej przedstawiliśmy. Tylko w związku z wielkimi interesami Anglii, Stanów, Francji i Niemiec warunki pokojowe w Portsmouth nabierają istotnego znaczenia i wypukłości. Wojna wybuchła o drzwi otwarte do Chin, w danym razie do Mandżurji. To był dominujący cel wojny; inne były podrzędne. Cel ten osiągnięty został w zupełności: na mocy traktatu preliminarnego Rosja z Mandżurji ustępuje, a Chiny rozciągają nad nią znowu swoją władzę zwierzchniczą i otwierają drzwi handlowi powszechnemu, w tej liczbie i rosyjskiemu. Odpadły wszystkie te akcesorja, któremi Rosja zabezpieczała przedtem swoje wyłączne panowanie w Mandżurji: kolej południowo-mandżurska, twierdze Portu Artura,

port handlowy Dalnij, koncesje leśne nad Jalu, znaczenie w Korei—wszystko to bezpowrotnie wyszło z rąk Rosji i przeszło w sferę wpływu Japonji. Traktat w Portsmouth zlikwidował ostatecznie całe przedsiębiorstwo polityczne Rosji w Mandżurji. Rosji zarezerwowano w tym kraju tylko takie prawa, jak innym narodom. Gdy się czyta owe ośm punktów traktatu preliminarnego, usuwających Rosję z Mandżurji i Korei, widzi się jasno całe znaczenie historyczne wojny japońskiej i jej rolę istotną w regulacji stosunków wszechświatowych na wschodzie Azji.

Zachowując w nietykalności swoje dawne posiadłości na lądzie syberyjskim, straciła Rosja na mocy traktatu jedynie południową, lepszą zresztą część Sachalinu. To drobne terytorjalne ustępstwo jest właściwie zwrotem japończykom tej samej części wyspy, którą posiadali już przed r. 1875 i nie może być uważane za oderwanie rdzennego terytorjum. Dobijając się o najbardziej zaszczytny dla siebie pokój, Rosja otrzymała go z rąk Japonji. Zwycięzca nie nalegał ani na kontrybucję, ani na oddanie rosyjskich okrętów wojennych roz-

brojonych w portach neutralnych, ani na ograniczenie wszystkich sił morskich na oceanie Spokojnym, faktycznie już ograniczonych na czas dłuższy. Rosja może sobie powiedzieć, że, pomimo nieustannego szeregu porażek na lądzie i morzu, otrzymała pokój, nie ubliżający jej honorowi państwowemu, lecz ciężki.

Zawsze, ilekroć przychodzi pokój, narody przyjmują wieść o nim z uczuciem ulgi. Dla Japonji pokój, wywalczony energją Roosevelta, przynosi moralne zadowolenie, obok korzyści realnych; dla Rosji pokój zewnętrzny jest nadzieją odrodzenia wewnętrznego; dla świata całego pokój ten jest otwarciem ładu wschodnio-azjatyckiego dla handlu i cywilizacji. Dla naszego narodu, który kilkadziesiąt tysięcy synów swoich zabitych i rannych w tej strasznej wojnie postradał, pokój w Portsmouth powinien być zapowiedzią lepszej przyszłości.

---

## Sprawa kobieca.

---

„Sprawa kobiet jest ściśle związaną ze sprawą socjalną. Rozstrzygnięcie pierwszej ułatwiłoby rozstrzygnięcie drugiej“. Tak pisze w dwutygodniku francuzkim „*Le Correspondent*“ p. Marja André, rozumna obrońcicielka kobiet i doskonała znawczyni ich sprawy. Artykuł jej, skreślony z wielkim współczuciem dla doli niewieściej, nie zawiera żadnych marzyielskich rozmyślań na znany temat usamowolnienia kobiet, lecz wykazuje jasno i przekonywająco, że kwestja kobieca istnieje i że zaradzenie złemu jest konieczne, ale musi się opierać na zasadach zgodnych z naturą i religją.

Francja, podług autorki, nie odczuwa tej kwestji jeszcze tak potężnie, jak Niemcy lub Austryja, gdzie liczba kobiet znacznie przewyższa liczbę mężczyzn, mianowicie w Niemczech kobiet jest więcej o milion, zaś w Austrii o ośmkróć sto tysięcy, niż mężczyzn. W Niemczech nadto liczba kobiet niezamężnych i starszych po nad 16 lat, oraz wdów, sięga ośmiu milionów, czyli stanowi prawie połowę całej ludności płci żeńskiej.

We Francji, wyznającej katolicyzm, znaczna ilość kobiet niezamężnych może szukać pociechy w religji, podczas gdy kobiety protestanckie są tej pociechy pozbawione i muszą zadawalniać się stowarzyszeniami. To też z Niemczech kobiety energiczniej dobijają się o swoje prawa, a nawet zdobywają się na liczne protesty przeciwko nowemu kodeksowi cywilnemu, który tych praw uznać nie chce. Kobiety niemieckie pragną uzyskać możność rozporządzania swym majątkiem i zarobkiem, oraz zawierania umów, które nie mogłyby być obalane przez kaprys mężów. Głosy kobiece są coraz liczniejsze, ruch protestujący wzrasta coraz bardziej. Gdy w Wiedniu pewien uczony

ogłosił drukiem broszurę przeciw wyższemu wykształceniu kobiet, mówczyńie przez całą zimę zwalczały ją z katedr publicznych. Znana p. Hainisch w swoim odczycie uznała niższość umysłową kobiet, lecz przypisuje ją kilkunastu wiekom kobiecej niedoli. Chrześcijaństwo było zrównało kobietę z mężczyzną, lecz w średnich wiekach zaczęto ją uważać za narzędzie szatana. Dziś—inne czasy: należy zdobywać sobie odpowiednie prawa i dążyć na wyżynę doskonałości ludzkiej, gdzie króluje sprawiedliwość.

Większość mówczyń jednakże idzie o wiele dalej, żądając zupełnej niezależności kobiet i wolnej miłości według recepty Bebla. W tym chaosie skarg można zresztą usłyszeć całkiem uzasadnione utyskiwania, na które należy zwrócić uwagę.

Źle jest nie tylko tym, które tak głośno protestują, ale i wielkiej masie tych, które na pozór pędzą żywot spokojny. Powieść G. Reutera p. t. „Z dobrej rodziny, historia cierpień panińskich“, wybornie odtwarza losy kobiety niezamężnej. Młoda dziewczyna prowadzi żywot egzotyczny, domyślając się tylko niektórych rzeczy. Potem uczęszcza na bale, kon-

certa, czyta Byrona, odbywa podróż do Anglii, skupia się w sobie, marzy o mężu. Zakochana w jakimś artyście, łądzi się długo, aż się przekonywa, że on jej nie kocha. Po długiej rezygnacji, rada wyjść za człowieka, który nie podobałby się jej dawniej, lecz zauważa, że ten konkurent myśli tylko o jej posagu; widzi wreszcie z boleścią, że ją porzuca, ponieważ tego posagu zabrakło, i staje się nie tylko histeryczką, lecz wprost ateuszką.

Przeciwko takiemu wychowaniu należałoby walczyć jak najusilniej. Pierwszą i główną dźwignią poprawy powinna być wzniośle głębokopojęta moralność ewangeliczna. Trzeba wpływać na dziewczyny słowem, wykształceniem, literaturą, przykładem, trzeba je nauczać, że życie jest szeregiem obowiązków, z których dla kobiety najbardziej zasadniczym jest małżeństwo, w myśl Pisma św. głoszącego, iż „nie dobrze człowiekowi być samemu“. Nie należy przeto wychowywać dziewczyn na księżniczki z bajki, lecz uczyć je obowiązków moralnych, wpajać w nie chrześcijaństwo tak, iżby wszedł w ich kość i krew.

Przyczyny ekonomiczne kwestji kobiecej p. André rozważa z równą trzeźwością umysłu. „Jakie należy obrać środki — zapytuje ona — aby ułatwić kobietom małżeństwo, po większej części dla nich możliwe, oraz zapewnić niezameżnym byt znośny?

Potrzeba samoistności ekonomicznej dla kobiet nastąpiła dopiero w dzisiejszych czasach, gdyż dawniej wszystkie kobiety w kole rodzinnem znajdowały dla siebie rozmaite domowe roboty, które im zajmowały cały dzień. Dawna epoka była dla nich złotym wiekiem. Obecnie wszystko się zmieniło. Fabryki, ogromne sklepy, dostarczające kobietom materiałów, które dawniej wyrabiano w domu; kobiety są dziś nie wytwórcami, lecz konsumentami. Ze wzrostem zbytku wzrosły pożądanja, a kobiety stały się dostępniejsze chorobom, mają nadto więcej czasu do skarg i rozmyślań.

Lekkomyślność i zaślepienie rodziców wytwarzają taki stan rzeczy w wyższych klasach. Dziewczynę wprowadzają w świat, do wiru zabaw i przyzwyczajają ją do gnuśności. Lata mijają, męża niema. Pani Gnauck-Kuehne opowiada o takich pannach, które z obawy

bezczytności wpadają w rozpacz. Jedne się zabijają, drugie stają się feministkami, trzecie staczają się w przepaść grzechu. Mężczyźni rzadko bywają narażeni na podobne katusze, bo karjera lub zajęcie zapełniają im życie, lecz los kobiet jest naprawdę straszny, zwłaszcza gdy są niezamożne. Tysiące córek urzędników i wojskowych odbierają staranniejsze wykształcenie po to jedynie, aby uganiały się potem za zarobkiem nauczycielki, lub lektorki, niemając najmniejszego powołania. Bardzo słuszną uwagę czynią niektóre autorki, że istnieją przecie inne fuchy, odpowiednie dla nich. Wszystkie zajęcia, mające styczność z ogniskiem domowym i wychowaniem dziatwy powinny należeć do kobiet.

Tymczasem według statystyki Rzeszy niemieckiej z roku 1882 przemysł artykułów żywności zatrudniał 693,000 mężczyzn i 66,000 kobiet, krawiectwo zatrudniało 262,000 mężczyzn i 84,000 kobiet, a męczące szycie na maszynie, zatrudniało aż 307,000 kobiet, a żadnego mężczyzny! Leczenie chorób dzieciennych powinno spoczywać w ręku kobiety. Stany Zjednoczone zwalczyły już stary przesąd i po-

siadają obecnie do 3000 kobiet lekarek, z których wiele jest zamężnych. Jeżeli kobiety w niektórych rodzajach pracy zatracają swą kobiecość, to cóż zrobić? Przecież z głodu nie powinny umierać.

Pani Klara Schreiber, która swą książkę o kobietach poświęciła mężowi, przyznaje, że położenie dziewcząt we Francji jest lepsze, niż w Niemczech, gdzie one są wychowywane bardzo niepraktycznie. „Dajcie — woła ona — córkom jakibądź fach, nie dlatego, żeby je od małżeństwa odstręczyć, lecz żeby im to małżeństwo ułatwić“. Gdyby urzędnik z 3—4 tysiącami franków pensji rocznej ożenił się z panną, mającą tyleż rocznego dochodu z posagu, nie miałby w niej prawdziwej towarzyszki, bo panna byłaby przyzwyczajona do zbytnej i trwonienia pieniędzy. Ale gdyby te same 4 tysiące musiała zarobić sama, o ileż lepiej poszłoby im życie. Obawiają się, że w takim razie mogłaby żona często wziąć górę nad mężem, który żyłby z jej zarobku. Lecz to nie stanowi jeszcze przeszkody, bo przecie amatorów na cudze zarobki zawsze było dosyć.

Wogóle niezależność ekonomiczna kobiet sprowadziłaby najlepsze skutki i podniosłaby moralność rodzin. Jeśli w niższych klasach kobieta pomaga mężowi czy rodzinie, orząc ziemię lub dźwigając cegłę, czemuż w klasach średnich nie może także być pomocnicą w rodzinie? Czyż w klasach wyższych kobiety zamężne nie tracą całego zapasu sił na zabawy i stosunki światowe?

Nietylko więc kobieta może — pisze autorka — lecz i powinna pracować, zwłaszcza jeżeli sama się o pracę dobija. Odrzucać jej prośby byłoby niebezpieczną niesprawiedliwością. I oto widzimy, jak kobiety niemieckie coraz większe zdobywają dla siebie pole pracy, jak otwierają się powoli przed nimi uniwersytety i powstają specjalne zakłady naukowe dla innych kształceń. Pani André w końcu sądzi, że chociaż są to nowe poglądy, lecz powinny one dodać bodźca do pracy francuzkom, jakkolwiek w ich kraju kwestja kobieca nie jest tak nagląca.

## Cechy kobiece.

---

Studja nad kobietą są wieczystą potrzebą umysłu ludzkiego, bo nietylko księgi święte i poezja wszystkich plemion i czasów, lecz nawet najpoważniejsze dzieła uczonych współczesnych, mają często na celu poznanie kobiety i jej natury duchowej. Pragniemy zapoznać czytelników naszych z kilku wnioskami ogólnemi, do których doszedł przyrodnik anglosaski Havelock-Ellis w dziele, również językowi polskiemu przyswojonem. Pomimo, że autor ten stoi na zbyt przyrodniczym punkcie widzenia, a niekiedy zdradza za małe zrozumienie psychologicznego wpływu chrześcijaństwa na sta-

nowisko kobiety, niepodobna jednak odmówić jego pracy ani staranności wywodów, ani głębszej znajomości antropologii i psychologii.

Drugorzędne cechy fizyczne, odznaczające mężczyznę i kobietę, są w zasadzie jednakże u obojg płci, w szczegółach jednak różnią się bardzo znacznie, jak np. wzrok, włosy, ustrój czaszki, forma kręgosłupa, krtań i t. d. Badając skrupulatnie różnicę tych cech drugorzędnych, autor upatruje je w najdrobniejszych częściach ciała ludzkiego, rozważanych oddzielnie. „Biorąc przeciętnie — mówi autor — mężczyzna jest mężczyzną w palcu wielkiej ręki, a kobieta jest kobietą aż do małego palca nogi“.

Przyjmując za pewnik, że, rozmiary kobiet zbliżają je do mężczyzn małego wzrostu i dzieci, autor dodaje: „Ta większa młodocianość typu fizycznego kobiet jest znamieniem bardzo jaskrawem, którego wpływ odbija się na najdalszych zakątkach duszy“.

Dane, jakie autor przytacza o wymiarach i budowie poszczególnych części ciała, są oczywiście ważne, lecz zbyt specjalne. Autor, mię-

dzy innemi, wyraża przekonanie, że ostateczne wyniki badań nad różnicami płciowymi mózgu są dziś bardzo niewielkie i chyba przyszłość przyniesie jakieś pewniejsze wskazówki. Ciekawe są wywody o zmysłach, jak np. dotyk, wzrok, słuch, gdyż doświadczenia w tym kierunku są pewniejsze; nowych myśli jednak w tym rozdziale znajdujemy niewiele, bo autor opiera się przeważnie na badaniach antropologów włoskich, jak Lombrosso i Ottolenghi. Rozdział o metabolizmie (właściwościach krwi i jej obiegu) jest pouczający z tego względu, że autor stanowczo uznaje różnicę składni krwi męskiej i kobiecej (na tem profesor Schenck, jak wiadomo, opiera swoje domniemania, ogłoszone przez prasę, jako olbrzymie odkrycie).

Z punktu psychologicznego interesuje nas rozdział o pobudliwości u kobiet, w którym autor odróżnia wrażliwość od pobudliwości i tę ostatnią uznaje za cechę czysto kobiecą. Owa pobudliwość, czyniąca kobietę „szatanem lub aniołem“, leży w fizjologicznym ustroju ciała.

Na działalność kobiet autor zwraca oczywiście wielką uwagę, kładąc nacisk na rytmiczność objawów fizjologicznych, która od-

grywa ogromną rolę i powinna być uwzględniana nawet w życiu społecznem kobiet.

„Jeżeli można się tak wyrazić — pisze autor — mężczyzna przynajmniej względnie żyje na jednej płaszczyźnie, kobieta na pochyłości krzywej ku górze, lub ku dołowi. Jeżeli nie zwrócimy na to uwagi, nie dojdziemy nigdy do prawdziwej znajomości fizycznego, umysłowego lub moralnego życia kobiet“.

W końcowym rozdziale autor potwierdza swoją początkową tezę, że kobiety zbliżają się do dzieci, lecz dodaje zarazem, że kobieta nie jest niedorozwiniętym mężczyzną, i wskutek tego niedorzecznością byłoby mówić o niższości lub wyższości kobiety; przyszłość cywilizacji polega właśnie na równowadze dwóch płci. Odbywające się obecnie zmiany w stanowisku społecznem kobiet są naturalnym wynikiem rozwoju społecznego i nie należy na to zapastrywać się pesymistycznie, albowiem samo życie odrzuci wszystko, co będzie niezgodne z cechami fizjologicznymi lub duchowymi kobiet.

Po za temi wnioskami ogólnemi bardzo ciekawe są zdania autora o zdolnościach arty-

stycznych kobiet; uważamy za konieczne przytoczyć tu jego wywody, gdyż w ostatnich czasach kobiety nasze zaczęły brać znacznie żywszy udział w życiu artystycznym i literackim narodów.

W dziedzinie malarstwa i rzeźbiarstwa wyższość mężczyzn nie ulega kwestji. Były i są tysiące malarek i rzeźbiarek — tak twierdzi autor — lecz żadna nie może być wciągnięta do listy sławnych; zaledwie dwie lub trzy zasługują co najwyżej na wzmiankę zaszczytną. Nie lepiej dzieje się w dziedzinie muzyki; kobiety nie wynalazły żadnego instrumentu muzycznego; żaden z mistrzów muzyki nie był kobietą. Uczony muzyk G. P. Upton przytacza 48 kompozytorek, żyjących w ostatnich trzech wiekach — wszystkie były miernościami. Do twórczości muzycznej brak kobietom skupienia, siły myśli, szerokości uczuć, natomiast sama muzyka pociąga kobiety właśnie dlatego, że jest sztuką uczuciową.

W filozofji kobiety nie zajmują nawet trzeciorzędnych miejsc; w poezji, zwłaszcza lirycznej, osiągnęły pewną doskonałość, natomiast poezja silna, „wymagająca jednocześnie

wysokiego stopnia śmiałości i dojrzałej odwagi“, spotyka się u kobiet nader rzadko. Jeszcze krytycy greccy uznawali, że kobietom brak zwięzłości indywidualności i skupienia. W powieści kobiety osiągnęły dużo, ale dlatego, że powieść wymaga znacznie mniej artyzmu, niż poezja, a przytem zazwyczaj bywa wyidealizowaniem opowiadaniem życia i chodzi znanymi ścieżkami.

Sztuka aktorska daje kobietom niezmiernie wdzięczniejsze pole, na którym prześcigają często mężczyzn, życie bowiem uczy kobietę giętkości i manier; w dodatku kobieta z natury i stanowiska społecznego częściej bywa w położeniu aktora, aniżeli mężczyzna; większa zaś uczuciowość ułatwia jej wywołanie w sobie wybuchów psychicznych, tak dalece potrzebnych na scenie. To samo tłumaczy nam znaczne powodzenie śpiewaczek.

Tego, co autor napisał w swem dziele o kobietach, nie można składać na karb osobistego usposobienia; ustami jego przemawia przede wszystkim uczony badacz, zupełnie bezstronny i nie zgorzkniały. W przedmowie czytamy, że autor pisał swą książkę w ciągu

12 lat, opierając się na ścisłych specjalnych badaniach. Do pracy tej skłoniła go okoliczność, że wszystkie artykuły w sprawie kobiecej, ukazujące się w prasie, kreślone są zwykle nieumiejętnie i niedbale; chodziło więc o rzucenie światła naukowego na całą kwestję.

---

## Kobiety pióra.

---

Kobiety-autorki mogą poszczycić się słynnymi poprzedniczkami w starożytności, jak Safo lub Korynna, która na igrzyskach olimpijskich była niegdyś współzawodniczką znanego wieszczą Pindara.

Od czasów Korynny sławne autorki ukazywały się w każdej prawie epoce, z wyjątkiem chyba początkowego okresu historii rzymskiej, kiedy kobiety musiały przedewszystkiem być matkami żołnierzy. Za czasów cesarstwa, gdy cnoty rzymskie zaczęły zanikać, pojawiały się nad Tybrem liczne pisarki i mówczynie.

We Francji kobiety występowały niegdyś w charakterze trubadurów i ministrelów; za

panowania Franciszka I i Ludwika XIV pisarki francuzkie cieszyły się rozgłosem przy dworze: w wieku XVIII nietylko we Francji, lecz i w Anglii, a nawet w Niemczech, kobiety bardzo często brały do ręki pióro, aby przekazać potomności płody swego talentu. Czasy odrodzenia włoskiego sprzyjały talentom niewieścim; niema wogóle żadnej wybitniejszej epoki, któraby nie zostawiła po sobie jakiegobądź utworu pióra kobiecego.

Wiek XIX, a zwłaszcza druga jego połowa, jest istotnym wiekiem utworów pióra kobiecego. Stosuje się to zwłaszcza do literatury naszej. Powieść, dziennikarstwo, książki dla dzieci, dziełka pedagogiczne,—wszystkie niemal rodzaje literatury uprawiane są dzisiaj głównie przez kobiety. Nie są jej obce i również trudniejsze działy piśmiennictwa; krytyka, dziejopisarstwo, filozofja, dramat, większe poezje; mają kobiety przed sobą otwarte drogi i mogą rozbierać najbardziej zasadnicze zagadnienia życia i sztuki.

Jak dotąd, powieść była najbardziej uprawianym przez kobiety rodzajem samoistnej twórczości autorskiej, gdyż zdaje się najlepiej

odpowiadać cechom umysłu kobiecego. Powieściopisarek istnieje moc niezliczona; prawie trzy czwarte powieści polskich napisały kobiety. Niekiedy powieści kobiece są bardzo wybitne, a nawet genialne; dość w tej mierze powołać się na George Sand, Eliot, a u nas na Orzeszkową. Istnieją całe fabryki powieści kobiecych, dostarczające tysiące utworów wydawcom amerykańskim i angielskim. Można się obawiać, że za lat dwadzieścia powieść, napisana przez mężczyznę, będzie należeć do rzadkich okazów literatury.

Czy powinniśmy zazdrościć kobietom takiego powodzenia? Chyba nie. Powinniśmy raczej zawołać z pewnym grzecznym poetą francuzkim:

Nadzieję, miłość, szczęście — winniśmy kobietom:  
Umiejmy-ż im przebaczać talenta i sławę.

Wprawdzie „przebaczać“ można tylko urazy, widocznie więc i ów delikatny poeta zapatruje się na powodzenie kobiet w literaturze, jako na obrazę płci męskiej.

Polityka, walki dziennikarskie, ostra krytyka utworów sztuki—nie odpowiadają cechom talentów niewieścich, mimo to zdarzają się nie-

raz wypadki, że kobiety czują się zdolnemi nawet do takich „męzkich“ występów wobec społeczeństwa.

A jednak pomimo tych sukcesów pióra kobiecego, z trudnością przyszedłoby nam powstrzymać od powtórzenia głębokiej uwagi uczciwego Goldsmitha: „Skromna dziewczyna, rozumna żona, roztropna matka rodziny niezmiernie więcej odpowiadają celom życia, niż filozofowanie kobiet“.

Zkąd się biorą literatki bez talentu? Zdaje się, że wytwarza je nienormalny ustrój społeczny, mianowicie utrudnione warunki założenia rodziny i zwiększanie się liczby kobiet niezamężnych. Oddziaływa na to również łatwość dostania się do koła literackiego. Żadnych studjów specjalnych, żadnego certyfikatu mądrości literatura bieżąca od swoich adeptów nie wymaga, tembardziej zaś od kobiet, od których wogóle świat niema zwyczaju żądać szczególnego wykształcenia. W literaturze zaś pod tym względem najzupelniejsza swoboda pierwszych kroków. Wystarczy, gdy redaktor słabej woli wydrukuje w swem piśmie nowelkę jakiej panny — literatura zyskuje nową i za-

zwyczaj bardzo wytrwałą pracownicę. Do zdobycia wawrzynów literatki nie potrzeba wcale talentu: należy tylko przyswoić sobie styl jakiego pisarza i ułożyć parę zwrotów własnego pomysłu, a wszystko pójdzie gładko.

Jeżeli kobieta w dodatku chce zarabiać piórem, wówczas jej wytrwałość nie ma granic. Pisze, tłumaczy, nicuje, chwytą się najmniejszej korekty, aby zarobić trochę pieniędzy. Przyznać trzeba, że literatki, których na tę drogę popchnęła bieda, mogą się usprawiedliwiać potrzebą zarobku, lecz nie zawsze zarobek ten wychodzi im na korzyść. Gdy którakolwiek z nich zarabia dużo, to oczywiście zmniejsza przez to zarobek mężczyzny-literata, który wówczas przestaje marzyć o założeniu ogniska domowego; pędzą więc oboje żywot smutny i gorączkowy, zostając dla siebie obcymi i z natury rzeczy wrogimi.

Czy warto zalecać kobietom prace na polu literackim? Nawet sam Gausseron, pełen galanterji dla autorek, pomimo całego uznania dla talentów kobiecych, nie radzi im puszczać się na tę drogę. A cóż dopiero mówić o biskupie Niedziałkowskim, który w dziele: „Nie

tędy droga, szanowne panie“, w niezmiernie gorący sposób zwalcza pojęcia współczesnych feministek polskich. Kto wie, czy biskup Niedziałkowski, w którym odrodziła się świetna werwa polemiczna dawnych dominikanów, nie wygłosił największej prawdy, twierdząc, że kobiety obecnie coraz więcej stają się niewolnicami, bo, szukając usilnie źródeł zarobku, dostają się w pewnego rodzaju niewolę ekonomiczną, tak iż małżeństwo staje się dla nich niedostępne. A czyż owo uganianie się za zarobkiem literackim nie jest równie smutną niewolą?

Zapewne, kobiety mogą oddać literaturze liczne przysługi, jako powieściopisarki, odkrywając przed nami tajniki serca ludzkiego, jako autorki książek dla dzieci, jako pisarki na polu pedagogicznym. Ale nie jest bynajmniej właściwem dla kobiety branie zadań nad siły i wyłączne poświęcanie się twórczości literackiej w szerszym zakresie. Inną i płodniejszą powinna być działalność kobiety w życiu, a określił ją Szyller:

.....des Weibes Urtheil

Ist seine Liebe.....

---

## Współczesna polka.

---

Przez długie lat dziesiątki, od doby rozkwitu poezji romantycznej w Polsce, kobieta nasza stała na piedestale, z którego zejść jej nie pozwalał aż do dni dzisiejszych nasz nałóg rycerskości, wessany z mlekiem matek. I jakkolwiek życie o wiele wcześniej postawiło kobietę w warunkach równych z mężczyzną—do dziś dnia uważaliśmy ją jeszcze za „królową i kapłankę“. Temu, kto chciałby szukać wad w naszej kobiecie, powiedzianoby: bluźnierca, jak niegdyś temu, kto wad szukałby w naszych dziejach i naszym charakterze.

Ostatnie ćwierćwiecze naszej historii rozwiąło wiele złudzeń i przyniosło nam w darze cenne poczucie samokrytyki. Wierzyliśmy

dawniej, że my — to lud wybrany, cierpiący za grzechy innych; teraz widzimy i wiemy, że winy nasze były niemałe, mniemaliśmy, że społeczeństwo nasze składa się z samej szlachty i w archaicznych herbach widzieliśmy symbole naszych cnót; teraz wiemy, że do narodu naszego należą także miliony nieoświeconego ludu; sądziliśmy, że dzieje nasze są wzorem wolnych rządów, ale teraz wiemy, że były w tych dziejach czarne karty.

Tylko kobieta nasza do ostatnich czasów nie przestawała dla nas być ideałem doskonałości. Nasza poezja widziała w kobiecie polskiej mistyczny pierwiastek świętości, któremu niewolno było złorzeczyć. W dziennikach naszych zawsze napotykamy jeszcze dotąd najbardziej wyszukane odezwania się o kobietach: wdzięk i uroda naszych kobiet są nieporównane, ich serca — to skarbnica najwznioslejszych uczuć; one same są chlubą narodu.

Ten fakt, że szcycimy się swemi kobietami, jest bardzo interesujący ze stanowiska psychologii narodów. Kult kobiet trwał u nas długo i krytycyzm w tym razie napotykał na

żywiłowy niejako opór duszy narodowej, w której tkwi tak głęboki pierwiastek czci kobiet.

Jaki ideał kobiety wystawiała do niedawna nasza literatura—wiemy bardzo dobrze. Jest to istota o mowie słodkiej, a duszy silnej — prosta, szczerza, pełna poświęcenia. Taką jest polka od Zosi mickiewiczowskiej aż do Maryni Połanieckiej. Taką mogłaby zresztą być kobieta wszelkich narodów, — gdyby nie cecha, właściwa tylko kobiecie polskiej i zawsze uwzględniana w naszej literaturze. Cechą tą jest specjalna zdolność panowania nad mężczyzną. Czego pragnie polka, to polak najsumienniej spełnia, nawet sam tego nie spostrzegając.

Przepyszny typem takiej kobiety jest ów sienkiewiczowski typ Maryni. Poczciwa, dobra, wzniosłe rozumiejąca swoje obowiązki, zdołała do tego stopnia wpłynąć na męża, że Połaniecki gotów porzucić swe operacje ku pieckie i osiąść w Krzemieniu. Możliwy przypuszczać, że całym ideałem Maryni było słuchać wraz z mężem swoich żab pod lipami Krzemienia i spełniać tylko obowiązki macierzyńskie.

Znakomity autor odtworzył intuicyjnie typ kobiety, który znamy tak dobrze, a mimo-woli odtworzył go tak, że wykazał całą jego przewagę życiową nad pierwiastkiem męzkim.

Typ Maryni jest typem kobiety ziemiańskiej „*en décadence*“. Powieść nasza przedtem znała typy tęższe, często w niej napotykalismy obraz kobiety, prowadzącej gospodarstwo męzkie, ratującej dobra, wychowującej rodzeństwo, podczas gdy mężczyźni nic nie robili. I to nas nie dziwiło, lecz wydawało się naturalnem.

Od niedawna rolniczy tryb życia w naszym społeczeństwie tak dalece przeważał, że literatura nasza nie znała innej panny, prócz wiejskiej, przedewszystkiem córki ziemiańskiej, pędzącej życie we dworze. W swoim czasie Orzeszkowa i Rodziewiczówna takimi postaciami zyskały sobie rozgłos. zaczytywaliśmy się więc opowiadaniem o naszych dobrych i szlachetnych pannach, które uczyły dziatwę wiejską czytać i pisać, które choroby włościan leczyły sposobem domowym, nie wiedząc nic jeszcze ani o szkótkach freblowskich, ani o patentowanych lekarkach Sorbony lub Zurychu. Nauczono nas czuć bezgraniczny szacunek dla

tych panien wiejskich, dla tego ideału przyszłej żony i matki, mającej rządzić dworem, domem i małżonkiem. Poezja romantyczna usposabia nas bardzo podniosłe dla takich typów.

Nawet Konopnicka, która wykarmiona została nowszemi hasłami pozytywizmu, szerzy w poezjach kult kobiet, i tak tłumaczy naszym panom wyraz „kocham“ w słynnym wierszu:

Czy wiesz ty o tem, że słowo to ciebie  
Czyni kapłanką przeczystych ołtarzy?

A potem dodaje w duchu Maryni Połanieckiej:

„Kocham“ to znaczy: chcę w cichym zakątku  
Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną!  
Chcę być twą myślą i ramieniem twojem —  
I przyjacielem — i żoną.

Nie można zaprzeczyć, że w ten sposób pojmowane kapłaństwo było wzniosłem i miało cechy wręcz idealne, ale taki ideał był pochodzenia ziemiańskiego — i przyszła chwila, że przestał odpowiadać pojęciom i potrzebom całego społeczeństwa, które odradzało się szybko i rozwijało coraz różnorodniej. Dziś nawet nie stać go na „ciche zakątki pod lipami“, w których tak łatwo przychodziło kobiecie polskiej

być „myślą męża“, czyli właściwie myśleć za niego.

Czy ten typ kobiety polskiej był czemś wielkiem i czemś nadzwyczajnem? Czy usprawiedliwiał nasze mesjanistyczne niemal pojęcie o kobiecie polskiej? Nie, — był to bardzo pospolity typ, ale go czciliśmy, ponieważ nam przewodził, był tęższy i energiczniejszy od nas, czy raczej od naszych ziemian. Należy w każdym razie zaznaczyć kruchość legendy o polce XIX wieku, jako zjawisku wyjątkowem, którego nam inne narody zazdrościć mogły.

Żeby dzisiaj polkę zrozumieć, należy przypomnieć sobie postacie powieściowe z ostatnich lat kilku. Polka dni naszych nie jest już typem tak niezłożonym, jak owa panna wiejska w powieściach z przed lat dwudziestu czy piętnastu.

Dawniej kultura narodowa kwitła w wiejskich pałacach i dworach szlacheckich; dziś równoznacznikiem kultury stało się miasto, zwłaszcza miasto duże, pozostające w ustawicznym zetknięciu z wielkimi miastami Europy. Na ulicach Warszawy dawna panna wiejska ginie już w tłumie innych kobiet.

Życie wytworzyło szereg polskich typów kobiecych, całkiem nowych, a typy te poczęły odbiegać od siebie, tak iż mamy już do czynienia nie z jednym przeciętnym typem, jak dawniej, ale z kilkoma. Obok kobiet, uprawiających „politykę“, wyrobił się nawet specyficzny typ kobiety, „pracującej“ na byt własny, a niekiedy utrzymującej męża i dzieci, oraz kobiety „inteligentnej“, ubiegającej się o kulturę umysłową lub estetyczną. Kultura umysłowa stała się, dzięki miastu, udziałem ludzi wszystkich warstw i wszelkich fachów.

Któryż z tych nowych typów kobiecych godzien stać na piedestale? Zapewne już żaden. Niepodobna dziś wyidealizować sobie polskiej kobiety z arystokracji lub plutokracji, żyjącej najczęściej w ciasnym świecie zbytku. Niektórzy powieściopisarze lubią wprowadzić malować ten świat i jego postacie, ale nas nie chwyta za serce i nie napawa podziwem treść życia próżniaczego. Jeżeli czasem napotykamy postacie arystokratyczne u Sienkiewicza i Prusa, to są one zazwyczaj blade, albo są to poprostu zwykłe szlachcianki, ubrane przez powieściopisarza w mitry.

Typ arystokratki naszej rozwijał się równomiernie z rolą, jaką polka arystokratka odgrywała w społeczeństwie. Dziś rola jej bledsza — i typy też przybladły.

W ostatnich latach powstał u nas typ kobiety-mieszczanki, a raczej typ polki „średniego stanu“ i znowu literatura nasza pośpieszyła typy te unieśmiertelnić. Powieść Prusa „Emancypantki“ jest pełną żywych typów kobiecych tego pokroju, a różnaitość ich robi wrażenie barwnego kinematografu. Typ np. pani Latter, przełożonej pensji w Warszawie, prowadzącej swój zakład samodzielnie na wielką skałę, surowej dla uczennic, ostrej dla podwładnych — jest to typ zupełnie nowy, zupełnie warszawski, podobnie jak jej córka, piękna lwica, polująca na arystokratów, a wychodząca za piwowara. Ada Solska, panna Howard, Joasia — to już typy kobiet miejskich, nie wspólnego ze wsią nie mających.

Jeżeli mamy uwierzyć kilku najnowszym malarzom życia naszych kobiet miejskich, jak Gabryela Zapolska, Alfred Konar i inni — to bardzo często te nowe typy panien i kobiet miejskich nie stoją na przeciętnej wysokości

moralnej. Ale czyliż to cechy wyłącznie „mieszczek?“ Dziś pod strzechą dworu wiejskiego bardzo często znajdujemy taki zupełnie typ kobiety, jak w salonie warszawskim czy lwowskim.

Kto pragnąłby widzieć kobiecy typ wiejski nienaruszony, niech idzie nie do dworów, ale do folwarków. Tam, wśród pomniejszych właścicieli ziemskich, dzierżawców i oficjalistów rolnych, znaleźć może jeszcze panny, które nie wiedzą jeszcze o wielkomiejskim trybie życia i nie odczuwają ducha czasu. Z tej sfery kobiet Orzeszkowa zaczerpnęła kilka typów prawdziwie polskich, żyjących miłością dla wszystkiego, co szlachetne. Tam Mickiewicz i Syrokomla są kochanymi i czczonymi. Przybyszewski i Wyspiański dotąd tam jeszcze nie dotarli.

„Królowa“ i „kapłanka“ przy bliższem poznaniu w powieści, w których się odbijają nasze stosunki społeczne, okazuje się raczej kobietą bardzo zwyczajną. I życie i powieść mówią nam, że kobieta nasza posiada bardzo mało przygotowania, aby spełnić swe przeznaczenie. Życie mówi, że kobieta nasza nie zna najprost-

szych przepisów higieny, a powieść utwierdza nas w przekonaniu, że kobieta polska bardzo często nie posiada świadomej woli i nie osiąga wysokiego rozwoju duszy. Powieściopisarze nasi malują szereg wypadków, w których kobieta nie wie, jak postąpić w najprostszej sytuacji. Jest to zasadnicza wada naszych kobiet, że życie traktują wciąż po salonowemu, jakkolwiek nieraz rozlegają się nawoływania do zerwania z takim trybem wychowania.

Trudnem jest do uwierzenia, że u nas nieraz dwudziestoparoletnia dziewczyna nie zrobi kroku bez matki. I to jest tak dalece wpojone w pojęcia kobiet naszych, że panna, pozbawiona towarzystwa osoby starszej, wydaje się nam podobną do łodzi bez steru. Podczas wykładów uniwersyteckich w Krakowie, na które niedawno dopuszczono kobiety, można było nieraz na ławach akademickich oglądać matki, ciotki, nieledwie babki, które się zapiśwały na wykłady, aby nie spuszczać z oka młodych pionerek wiedzy. Z fałszywego wychowania wypływa bardzo przykra wada kobiety polskiej — nieszczerłość, dualizm uczucia i postępowania. Trzeba często udawać zado-

wolnienie, gdy się czuje nudę, trzeba udawać zapał, gdy jest się oziębłą. I na odwrót, trzeba tłumić miłość, uważać na każde słowo, być sfinksem i utrudniać innym poznanie siebie. A wszak w tym tkwi źródło fatalnych pomyłek życiowych. Nieraz powieściopisarz wysiła się na to, aby odgadnąć psychologiczny proces, który towarzyszy tak częstemu w powieściach wykręcaniu się panny od prostej odpowiedzi na bardzo proste pytanie: czy chcesz być moją? Powieść w tym razie jest odbiciem życiowego fałszu, w którego atmosferze panna polska zmuszona jest wyrastać. Kazimierz Tetmajer w „Otcłani“, maluje wybornie ten stan wątpliwości kobiecej:

„Tak, tak, my się kochamy, my się pragniemy i szukamy siebie — ale jesteśmy sobie żywiołowo obcy, elementarnie, psychicznie obcy, zlewamy się, jak rzeki z morzem, ale nigdy nie jesteśmy ogniem, który jest jeden, z czegokolwiek powstał. I to, oprócz nędzy i śmierci, bywa największą tragedją w życiu“.

A ten brak szczerości wpływa bardzo ujemnie na ukształtowanie się późniejszych stosunków w małżeństwie. Panna nie widzi

nigdy przyszłego męża przy pracy i nie widzi go wtedy, gdy trwoni siły i pieniądze. Musi polegać na tem, co o nim słyszy od matek lub takich samych panien, jak ona sama. Dla tego też często pada ofiarą wyrachowania rodziców; albo, gdy ma temperament i umie oprzeć się rodzicom, wychodzi nieraz za nicponia. Angielka poślubia przeważnie któregośkolwiek ze swoich przyjaciół, polka wychodzi za kuzyna, za majątnego sąsiada, wreszcie za człowieka, którego może kilka zaledwie razy widziała, lecz o którym jej mówią, że jest ogólnie szanowany.

Broniczową z „Rodziny Połanieckich“ jest w duszy niejedna z matek polskich. One to umieją popchnąć niedoświadczone córki w objęcia niemiłe i złamać im los.

Powieść przeto i życie przekonywają nas, że wbrew utartemu komunałowi o doskonałości kobiety polskiej, nie jest ona na wysokości swego zadania. Obowiązek bez uczucia — to gmach bez cementu; a życie wskazuje, że nasze kobiety najczęściej w ten sposób budują sobie gmachy swego szczęścia. Należy patrzeć na rzeczy wzrokiem jasnym i czuć sercem

hartownem. Kobieta żywa, zdrowa, energiczna powinna w życiu społecznem być niczem innym, jak szczerą towarzyszką i pomocnicą mężczyzny. Aby się nią stała, na to potrzeba długiej i usilnej pracy, potrzeba zmian w wychowaniu, potrzeba ćwiczeń fizycznych, potrzeba ognisk wiedzy dla kobiet.

---

## Kwestja wyższego wykształcenia.

---

Istnieje w prasie naszej pewna kwestja z gatunku tych, które unosząc się niemal w powietrzu, o niejedną głowę zaczepiają, ale rzadko przybierają wyraźną postać. Jest to kwestja w rodzaju głośniejszej od niedawna „emigracji zdolności“ p. Lutosławskiego, tylko nierównie donioślejsza, chociaż równie nieuchwytna. Pisano o niej rozmaicie i pod rozmaitemi hasłami, ale nie wytoczono przed forum publiczne w formie zdecydowanej.

Jest to sprawa „pożytku wyższego wykształcenia“, który został kwestjonowany przez publicystykę, lubiącą rozwiązywać najważniejsze zagadnienia społeczne w imię owej „*prosperitatis publicae*“, o której jeszcze scholastycy

średniowieczni rozprawiali. Popęd do osiągnięcia możliwie największego wykształcenia umysłowego, jak wiadomo, wrodzony jest każdej jednostce ludzkiej, obdarzonej cennym przymiotem rozumu. Tem tłumaczy się prosty fakt, że żadnej dobrej szkole uczniów nigdy nie brakuje, oraz, że im większe pole wiedzy człek zdobywa, tem większe cele zakreśla sobie w życiu; ztąd również wypływa zwyczaj narodów chlubienia się brakiem analfabetów, a obfitością szkół wszelkiego rodzaju od najniższych do najwyższych.

Zdawałoby się, że ten pogląd jest tak naturalny, że usprawiedliwiać go mógłby tylko naiwny. Jednak bywają chwile, gdy najoczywistsze prawdy pozostają w cieniu, a zamiast ich występują wyobrażenia, przyprawiające ludzi o pewną aberację pojęć i wywołujące w prasie i umysłach kwestje, za którymi uganiamy się po omacku kierownicy myśli publicznej.

W pismach naszych kwestja „wyższego wykształcenia“ w ciągu paru lat ostatnich tuła się z bolesną i rozpaczliwą twarzą. Ze strony mogłoby się wydawać, że ją popycha jakiś

ironizujący niedouczek, ale niestety — przedostała się ona do takiego poważnego miesięcznika, jak „Ateneum“ i zmierza przeto do Panteonu najbardziej czczonych postulatów publicystycznych, Panteonu, w którym ongi rozgłosiła się „praca organiczna“, później nieco „ciężkie warunki ekonomiczne“, a przed niedawnym czasem stanął czczony dziś nadmierne bożek polityki. Wiedzie nową kwestję do tej świątyni postulatów jeden z najwybitniejszych naszych publicystów p. Tadeusz Smarzewski, wiedzie, co prawda, ostrożnie, bo w kronice „Ateneum“ pisał nader oględnie i jakby z ubocza:

„Powinniśmy rozważyć, czy mogąc pokierować losem młodzieńca, mogąc oddziaływać na niego radą, słowem, lub pomocą materialną, więcej przysporzymy krajowi pożytku i chluby, jeżeli go zrobimy nadwornym medykiem Emira, czy też jeżeli go wychowamy na kierownika porządnego warsztatu w kraju“.

To, co p. Smarzewski wypowiada tak delikatnie, prasa nasza, a za nią i przeciętna opinja publiczna, gotowa sformułować bez ogródek: „Lepiej być rzemieślnikiem, niż leka-

rzem“. A podczas gdy p. Smarzewski ogląda się uprzejmie na Niemcy, pisząc: „Tam przyjęto oddawna zasadę, że naukom wyższym oddaje się ten tylko, kogo stać na to“ — przeciętna opinia publiczna gotowa jest twierdzić stanowczo: „Wyższe wykształcenie kosztuje drogo, a chleba nie daje“.

I oto kwestja ulatuje dalej w powietrze, a w wielu głowach pozostaje błędny i niepotrzebny postulat: „Syn twój będzie rzemieślnikiem — wyrokuję arbitralnie ten postulat — bo ludzi z wyższem wykształceniem mamy za dużo“.

A więc mamy za dużo lekarzy, za dużo adwokatów, za dużo filologów, za dużo przyrodników. Kto ich policzył i kto zbadał ich drogi — nie wiadomo: istnieje tylko przekonanie, że tych ludzi mamy za dużo. Za dużo mamy uniwersytetów (bo aż jeden) i niewątpliwie mamy za dużo gimnazjów (Królestwo ma ich aż 17); można sobie wyobrazić co się dzieje w Galicji, gdzie są aż dwa uniwersytety, gimnazjów zaś z górą 30; i co za stosunki panować muszą w Poznańskim, gdzie na ludność

kilkakrotnie mniejszą niż w Królestwie, przypada parę dziesiątków gimnazjów.

Poprostu dziwną jest ta przezorność naszych publicystów, mieszkających w kraju, gdzie dotąd jeszcze przy porodzie babki wiejskie operują wygrzebaczami od pieców, a pokątni doradcy porywają klientów niemal na ganku izby sądowej! Przyrodników naszych chyba na palcach zliczyć można, matematyków prawie niema wcale.

Nie mówimy o uczonych, bo tych w żadnym kraju nie bywa zawiele, ale mówmy o zwykłych pracownikach bardzo wielu instytucji społecznych, w których przydaliby się ludzie z wyższem wykształceniem. Istnieje utylitarny pogląd, że prawnik uczy się dla adwokatury, lekarz dla wolnej praktyki, matematyk dla posady profesora gimnazjalnego, przyrodnik dla łapania motyli i t.d. A tymczasem życie społeczne rozwija się tak szybko i wytwarza tyle różnych terenów pracy, że wszędzie potrzebni są ludzie wykształceni i możliwie najwięcej. My zaś żyjemy dotąd ułudą, że wykształcenie zapewniać powinno posadę albo gabinet, pełny klientów lub pacjentów,

domagamy się gwałtem, aby niezwłocznie procentowało, a z chwilą, gdy przekonamy się, że dobry stolarz lub ślusarz zarabia więcej od początkującego lekarza, odżegnujemy się od uniwersytetów, jak od niedogodnego przedsiębiorstwa. Nic bardziej jednostronnego nad ten pogląd.

Zaczynając od papieży, którzy niegdyś zakładali scholastyczne wszechnice, aż do dzisiejszych krezusów amerykańskich, którzy ofiarowują miliony dolarów na uniwersytety swego imienia, wyższe wykształcenie we wszelkiej postaci zawsze i wszędzie było uważane za jedno z najważniejszych zadań społecznych bez względu na to, czy ono materialnie opłacało się czy nie. To samo było dawniej i u nas; i nie tylko było, ale i teraz jest, chociaż praktyczni publicyści o tem mówią jak o nieszczęsnym przesądzie. Czyż najubożsi studenci, którzy często żyją suchym kawałkiem chleba dążą tylko do materialnej kariery? Wszak pierwszy lepszy kopista biurowy ma pewniejsze źródło dochodów, niż student, który nawet na zapłacenie wpisu niema nieraz funduszu. A jednak kopista zazdrości studentowi nietyle wątpliwej

karjery życiowej, ile wiedzy, która ma w sobie idealny pierwiastek osobistego szczęścia. Nie darmo przecież obok arystokracji i bogactwa stoi arystokracja umysłu.

I oto zamiast unormowania tego popędu do wykształcenia, który stanowi może najpiękniejszą stronę energii ludzkiej, publicyści zastanawiają nad pytaniem: czy nie korzystniej byłoby założyć warsztat? Dlaczego? Bo prędzej będzie dawał dochód. Oto do czego prowadzi praktyczność publicystów, zapominających, że warsztaty istniały już na parę tysięcy lat przed uniwersytetami, które stanowią wielki dorobek cywilizacji, i że z lekarza od biedy można zrobić stolarza, ale stolarz chyba nigdy lekarzem nie zostanie. Dziwne zaś przekonanie, że wyższe wykształcenie przystoi tylko zamożnemu, jest tak samo błędem, jak na przykład to, że chrześcijaństwo wyznawać może tylko ubogi. O tem nawet rozprawać nie warto.

Że nam braknie pola pracy dla wykształconych osób, o to sprzeczać się nikt nie będzie. Zjawisko takie znane jest w wielu krajach europejskich, gdyż i tam większe miasta mają nadprodukcję „sił inteligentnych“, ale to cecha

wszystkich wielkich ognisk, w których w większym jeszcze stopniu istnieje nadprodukcja rąk roboczych. To smutna konieczność życiowa, przeciwko której najlepsza wola nie zrobi. Radząc komuś zostać rzemieślnikiem, winniibyśmy przynajmniej zapewnić mu pewną egzystencję. Tymczasem i tu panuje prawo podaży i popytu, jak w fachu adwokackim lub lekarskim, bo chociaż wytwórczość ręczna i fabryczna wzmaga się bardzo szybko, lecz i rąk roboczych przybywa coraz więcej. Zwyczajny rzemieślnik nie dba o żadne kwalifikacje naukowe, ale rozpoczyna pracę z dwiema gołymi rękoma i nieoświeconym umysłem.

„Wyrzec się uniwersytetu, aby zostać „rzemieślnikiem“ — brzmi to tak, jak gdyby kto powiedział: „Wyrzec się studjów rolnych a zostać ciemnym dwumorgowym chłopem“. Oto dla czego serce każdej matki ścisza się, gdy publiczny doradca zaleca jej oddać syna do rzemiosła, zamiast go kierować na wykształconego człowieka. Jest to rada więc błędna.

Nie ludzi trzeba wywlekać z uniwersytetów dla rzemiosła, ale wyższe wykształcenie

wprowadzać do rzemiosła — oto prawdziwe rozwiązanie zagadki. Życie często uprzedza pomysły publicystów — o tem dobrze wiemy. Ale trudno chyba wynaleźć bardziej ciekawy przykład przeobrażenia rzemiosła pod wpływem wyższej wiedzy, jak ten, za którego przytoczenie należałoby czytelnika przeprosić. Przed trzema dziesiątkami lat oczyszczenie Warszawy było rzemiosłem ciemnych ludzi, od których zapach dochodził zdaleka. Dziś funkcje ich przeszły do inżynierów kanalizacji, których stanowisko społeczne i wykształcenie jest równie poważne, jak adwokata, lekarza, profesora i t. d. Prawda, że to przykład zbyt paradoksalny. Ale powoli przeobrażają się wszystkie rzemiosła, nastaną czasy, gdy zamiast szweców będziemy mieć techników - pedologów; zamiast krawców dyrektorów fabryk odzieży; zamiast rzeźników inżynierów szlachtuza; zamiast ogrodników licencjatów botaniki i t. d.

Przytaczamy tytuły z umysłu, aby położyć nacisk na to, że każdy fach może dojść do wysokości rozwoju, dzięki postępom ogólnym wiedzy i techniki. Otóż jasną jest rzeczą, że dla osiągnięcia takiego rozwoju należy przede-

wszystkiem kształcić się, podobnie jak kształcą się: lekarz, prawnik, inżynier; ale nie tak, jak terminuje dzisiejszy rzemieślnik, z małymi wyjątkami — ciemny i zacofany. W każdym zawodzie ideałem jest osiągnięcie najwyższego szczebla wykształcenia i osiągają go zazwyczaj nie wszyscy, bo większość pozostaje w tyle. Nie wszyscy stają się lekarzami, wiele ludzi zostaje tylko felczerami, a jeszcze więcej, niestety, znachorami; nie wszyscy zostają inżynierami—wielu ludzi bywa tylko mechanikami, monterami, werkmajstrami. Nie wszyscy zostają wielkimi przemysłowcami; ogromna ilość ludzi bywa tylko rzemieślnikami. Ale podobnie, jak każdy żołnierz napoleoński nosił w tornistrze buławę marszałkowską, tak i każdy człowiek marzy o osiągnięciu najwyższego szczebla umysłowego i społecznego, a do tego jest tylko jedna pewna, choć zmudna droga - wykształcenie. Nie wolno twierdzić, że tego wykształcenia jest za dużo i że szkół wyższych nam nie potrzeba.

Inna rzecz, czy obecne szkoły (gimnazja i uniwersytety) odpowiadają zmienionym warunkom życia społecznego i ekonomicznego.

Nikt nie wątpi, że nam brakuje szkół technicznych, rolnych i fachowych wszelkiego rodzaju; Europa zachodnia oddawna już odczuwa jednostronność wychowania klasycznego, ale ona uniwersytetów i liceów nie zamyka, tylko je reformuje, a jednocześnie tworzy jak największą ilość zakładów zawodowych. Jesteśmy w gorszym położeniu pod tym względem, niż Saksonja, która ma trzy miliony mieszkańców ma aż 212 szkół fachowych, podczas gdy my mamy zaledwie kilka. Ale tam z pewnością nikt nie rozpoczynał od tego, że użalał się na nadmiar ludzi z wyższym wykształceniem, a dzieci swe oddawał do terminu, tylko budował szkoły i we wszystkich fachach chciał osiągnąć największy rozwój.

Czy wyższe wykształcenie nam potrzebne? Na to odpowiedź może być tylko jedna: zawsze i wszędzie. Ponieważ wyższe wykształcenie obecnie dostępne tylko dla lekarzy, prawników i inżynierów, a dla innych fachów nie istnieje, przeto nie dziwnego, że wszyscy dążą do uniwersytetów. Trzeba naprawdę bardzo miłować się w postulatach, aby wygłosić taki pewnik, iż lepiej zostać rzemieślnikiem, niż wykształco-

nym człowiekiem chociażby w fachu liczącym za wiele adeptów. Dopóki nie będzie szkół, które przeobrażą nasze archaiczne rzemiosła na postępowe i rozumne przedsiębiorstwa, dopóty każdy będzie wołał iść do uniwersytetu, niż terminować u szewca lub krawca. Jest to jasne jak słońce. Jeżeli mamy za dużo lekarzy i prawników, to zapytamy siebie: ilu mamy rzemieślników, którzy cierpią nędzę? Jeżeli mamy dużo ludzi z wyższem wykształceniem, to zapytajmy siebie: ile w naszych instytucjach społecznych, w naszym handlu, w naszym przemyśle, w naszym ziemiaństwie jest ludzi, którym daleko do nazwy człowieka inteligentnego?

W pogoni za praktycznością nie można wyrzekać się takich powszechnych ideałów ludzkich, wyrzekać się dla tego, że ono kosztuje za drogo i nie opłaca się odpowiednio. Przypominamy sobie o położeniu zaatlantycznego dorobkiewicza, który umierając u szczytu bogactwa, pragnie zapisać cały majątek na uniwersytet, rozumiejąc dobrze, że robienie pieniędzy nie mogło mu zapełnić wszystkich pustek życia, i że wiedza jest także bogactwem.

A 24 -  
10457 13459

Szukajmy więc tej wiedzy wszędzie, nie tylko w uniwersytetach i liceach, ale w każdym fachu, a wtedy nie będziemy potrzebowali stawiać sobie takich alternatyw: wyższe wykształcenie czy rękodzielnictwo? i stwarzać takie postulaty: „bądź rzemieślnikiem, bo uczonych mamy za dużo“. Takiego pomieszania najprostszych pojęć należy unikać w poważnej publicystyce.



# KSIEGARNIA POLSKA W PETERSBURGU

ULICA JEKATERYNIŃSKA NR. 2

**poleca nakładem własnym wydane dzieła następująco:**

BARTOSZEWICZ K. Księgi humoru polskiego. Wyd. drugie, ozdobione portretami i autografami humorystów i satyryków polskich, 4 tomy. . . . .	4.00
BEM A. G. Teorja poezji polskiej z przykładami w zakresie popularnym analityczno dziejowym. . . . .	1.05
CHMIELEWSKI P. Nasza literatura dramatyczna. Szkice, 2 tomy . . . . .	3.00
— Współcześni poeci polscy. Szkice . . . . .	2.00
DEMBOWSKI L. Moje wspomnienia z czasów W. Księstwa Warszawskiego i wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku, 2 tomy . . . . .	3.00
HŁASKO STANISŁAW. Geniusze bez skrzydeł. Nowele społeczne. Petersburg 1906 r. . . . .	—75
— Partje polskie wobec Dumy. Petersburg 1906 r. . . . .	—60
KARBOWIAK A. Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich. Część pierwsza, od roku 966 do 1363. . . . .	2.00
— Dzieje wychowania i szkół w Polsce. Tom II. Wieki średnie. Część II, okres trzeci od roku 1364 do 1432 . . . . .	2.60
KOCH C. Dr. Poradnik lekarski, zawierający opis wszystkich chorób oraz sposobów ich uprzedzenia i leczenia według najnowszych metod . . . . .	1.50
KOSIAKIEWICZ W. Bawełna, powieść. . . . .	1.00
KRAUSHAR A. Losy Miączyńskiego, marszałka konfederacji barskiej, generała wojsk republikańskich za czasów wielkiej rewolucji francuskiej, z 59-ma ilustracyami . . . . .	4.20



92 98/1

- własnej korespondencji. Studium historyczne. . . . . —.75
- ORZESZKOWA E. Dwa bieguny, powieść. . . . . 1.00
- POL W. Wybór poezyj, wydanie miniaturowe, z portretem poety, broszura . . . . . —.75  
w ozdobnej oprawie 1.50
- PRĄDZYŃSKI I. Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1831. Wyd. II-gie 1.50
- PULASKI K. Szkice i poszukiwania historyczne. Serja druga. Treść: Z pamiętnika konfederata barskiego. Korespondencja Michała Jerzego Mniszcha marsz. w kor., z lat 1783 — 1790. Uchwała sejmiku wołyńskiego w Łucku w r. 1790. Szlachta podolska w czasie zaboru tureckiego 1672 — 1699. Machat Girej, han tatarów perekopskich i stosunki jego z Polską, (1515—1523), str. 350. 1.80
- SEWER. Biedronie, powieść, z 34 ilustracjami Wł. Tetmajera. . . . . 1.00
- SUSZCZYŃSKA A. Przekonana, powieść. . . . . 1.00
- SYPNIEWSKI A. Dzieje czasów najnowszych, od r. 1815 do dni naszych. Przełożył z niemieckiego K. Król. Wydanie drugie poprawione . . . . . 1.20
- TRETIĄK J. Młodość Mickiewicza 1798 — 1824. Życie i poezja. Z dwoma portretami Maryli i Mickiewicza z lat młodych. Wydanie drugie, 2 tomy. 2.00
- ZACHARJASIEWICZ J. Chleb, powieść współczesna. 1.00

